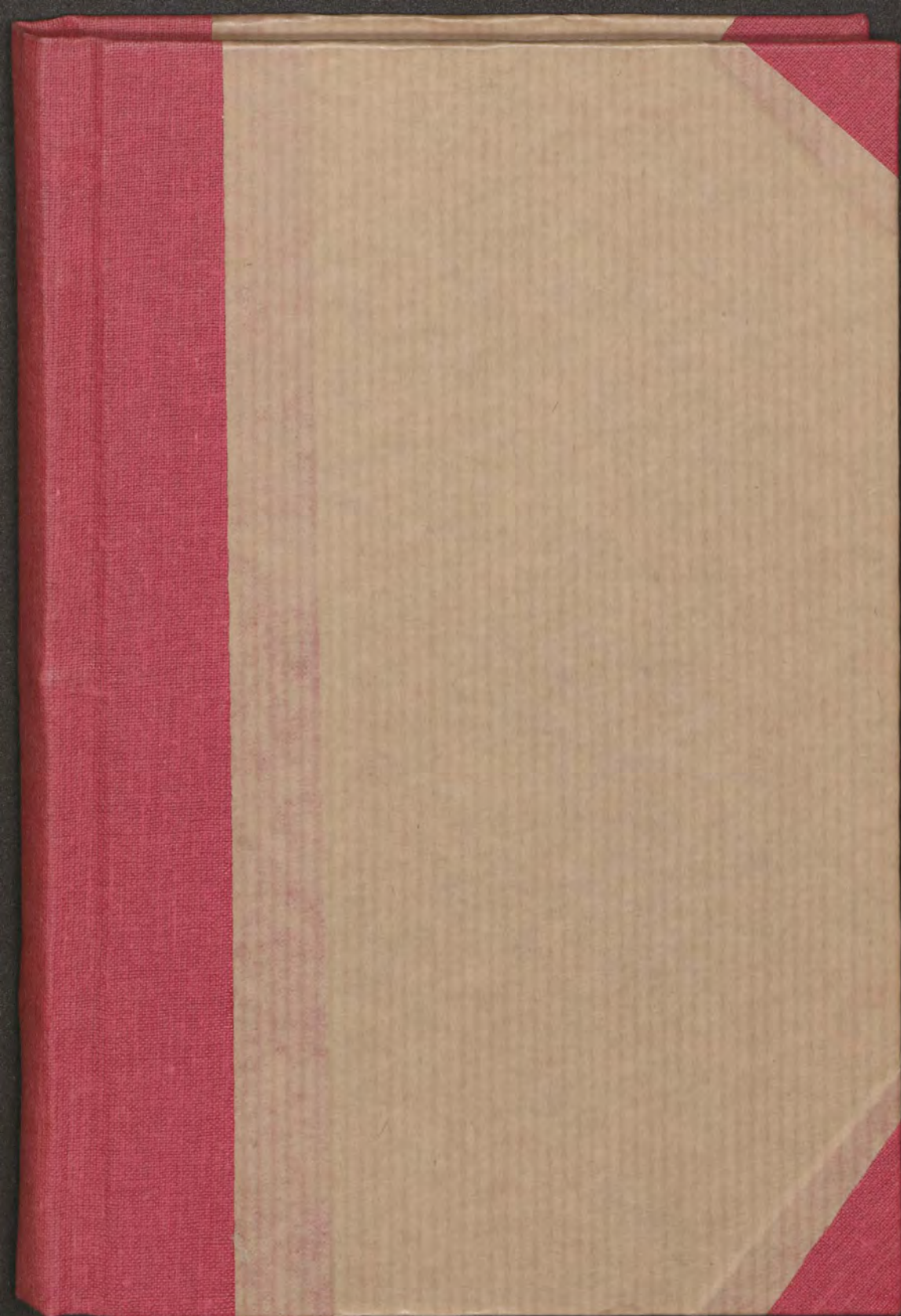




Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-20550/t.1



001-0023871--00

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY.

NOWELA POLSKA

I.

HENRYK SIENKIEWICZ.

BOLESŁAW PRUS:

KAMIZELKA. — ANTEK. — SEN.

ELIZA ORZESZKOWA:

BABUNIA. — MOMENT.



OPRACOWAŁ DLA UŻYTKU SZKOLNEGO:
PROFESOR JÓZEF WIŚNIEWSKI.

821.162 1-3



A - 20550/1

23871

For nie i pawa do wny Bm

For

radm, ulica Kilińskiego 5. -

Dnia 4 marca 1906 r. -

→

WSTĘP.

Cykl utworów, niniejszą antologią objętych, stanowi najprzedniejszy wybór nowelistyki polskiej zarówno ze względu na doskonałość obserwacji życia, jak niemniej z uwagi na skończenie artystyczną formę wykonania.

Serdeczne uczucie wieje przytem z tych kart bolesciwych, bądź jasnych i krzepiących, bo też na uczuciu grać i z uczuć twórcy się rodzić winna prawdziwie wysoka, w chwili rzeczywistego natchnienia powstała *nowela*.

Nazwą tą obejmujemy utwór rozmiarami szczupły, czasami zupełnie drobny ale za treść mający ważne jakieś, do głębi wzruszające lub wstrząsające zdarzenie, przedstawione w wybitnie pięknej formie wykwintnym, poetycznym stylem i językiem.

W drugiej połowie XIX. stulecia stała się nowela ulubioną, powszechnie używaną formą pisarzy. Nie było wprost swego czasu autora, któryby nie próbował sił swoich w tym lekkim, zwięzłym, miniaturowym rodzaju twórczości. Zwłaszcza w latach osmdziesiątych roi się formalnie od najrozmaitszych, poważnych, bądź humorystycznych, z przewagą pesymistycznych jednakże, nowel, obrazków, szkiców, opowiadań, bo różni różnie nazywali utwory swoje do omawianego właśnie rodzaju należące.

Mistrzami na polu nowelistyki artystycznej stali się zwłaszcza: Bret-Harte, Turgeniew, Maupassant i inni. Obok rzetelnie bohaterskich dusz i heroiczych czynów, przedmiotem zbanalizowanej już i nadużywanej noweli stawały się z czasem istoty najróżnorodniejsze a w miarę jego upływu wyspecjalizowała się i wyodrębniła od reszty nowela z życia zwierząt, przedstawiająca głęboko lub zabawnie, zawsze wszakże z serdecznem współczuciem i ukochaniem natury, życia, przygody a nawet czucia i myśli, nawet psychologię zwierząt różnego typu.

Znakomitym twórcą w malowaniu tego rodzaju obrazków okazał się w pierwszym rzędzie genialny Anglik, Rudyard Kipling, u nas Bolesław Prus i Adolf Dygasiński.

W literaturze polskiej, podobnie jak we wszystkich współczesnych, znajduje się nieprzebrana ilość nowel, niekiedy wprost doskonałych, czasami niepowszednio oryginalnych, często jednakże banalnych i nieosobliwych, — a wywołały je bądźto tryumf mistrzowskiej noweli francuskiej, bądźto (i te należą do nierównie słabszych) potrzeba prasy codziennej i periodycznej, zmuszonej i zmuszającej autorów do drukowania rzeczy krótkich, ulotnych i błahych byle sensacyjnych i zaciekawiających, celem pozyskania szerokich kół abonentów. Ilu też pisarzy, tylu nowelistów nieledwie!

Z pośród nich wyróżnili się głównie i treścią malowanych przez siebie obrazków i sposobem ich przedstawienia, zajmującym, barwnym, artystycznym: Felicyan Faleński, Jan Zacharyasiewicz, Włodzimierz Zagórski, Albert Wilczyński, Władysław Łoziński, Michał Bałucki, Wiktor Gomulicki, Maryan Gawałewicz, Julian Łętowski, Wincenty Kosiakiewicz, Jó-

zefa Sawicka (Ostoja), Marya Rodziewiczówna, Ignacy Dąbrowski, — ale arcydzieła w całym tego wyrazu znaczeniu tworzyli na tem polu jedynie: — Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), Eliza Orzeszkowa, Aleksander Świętochowski, (Władysław Okoński), Marya Konopnicka, Adam Szymański, Sewer (Ignacy Maciejowski), Klemens Junosza (Szaniawski), Adolf Dygasiński, — z młodszych: — Stefan Żeromski (Maurycy Zych), Władysław St. Reymont, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Wacław Sierczewski.

Celem antologii niniejszej, przedstawić kolejno te właśnie arcydzieła, przyczem wszakże musimy wyjaśnić, dlaczego utwory najgłośniejszego z żyjących pisarzy, Henryka Sienkiewicza, nie zostały uwzględnione w naszym wydawnictwie:

Firma wydawnicza dzieł twórcy „Trylogii“, przystępując w tych czasach do nowego, taniego nakładu wyborowych nowel Sienkiewicza, czuła się zniewoloną odmówić nam pozwolenia na żądany przedruk niektórych, — i tem się tłumaczy okoliczność, że poza charakterystyką znakomitego pisarza, prac jego nie znajdzie czytelnik w tym zbiorze. Obie nowele, które miały wejść w skład niniejszego tomu („Latarnik,“ „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“) są jednak tak ogólnie znane i rozpowszechnione, że pominięcie ich tutaj, lubo narusza harmonię układu naszej antologii, nie staje się przecież, wskutek tej rozległej popularności, zbyt dotkliwym uszczerbkiem dla czytającego.



HENRYK SIENKIEWICZ.

Najgłośniejszy z powieściopisarzy polskich, urodził się 4. maja 1846. r. we wsi Wola Okrzejska (Podlasie.) Dzieciństwo przeżył we wsi rodzinnej i w Stanisławowskiem, studia gimnazyalne odbywał w Warszawie, gdzie też po ich ukończeniu zapisał się do Szkoły głównej (późniejszy uniwersytet warszawski) na wydział filozoficzny. Tu kolegował z tak wslawionymi później pisarzami, jak Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski, Piotr Chmielowski i inni. W r. 1866. rozpoczęły się tedy studia Sienkiewicza w sekcji historycznej wydziału filologicznego. Pierwsze artykuły (bo od nich rozpoczął zawód literacki), umieszczał przyszły twórca „Trylogii“, jak większa część rówieśników jego, w „Przeglądzie tygodniowym“, w latach zaś 1869. i 1870. ogłosił dwa studia literacko-krytyczne: „Mikołaj Sep Szarzyński“ i „Kasper Miaskowski“. Pierwsza jego powieść nosi tytuł: „Na marne“ i jest osnuta na tle życia młodzieży warszawskiej (choć rzecz się rozgrywa w Kijowie) a drukowana w „Wieniec“ w r. 1872, zwróciła odrazu uwagę czytelników i krytyki literackiej. Rok przedtem zdał Sienkiewicz egzamin w Szkole głównej i ze stopniem kandydata nauk historycznych wspomniany zakład opuścił.

W ślad za pierwszą powieścią poszły pierwociny nowelistyczne, wydane pod pseudonimem Litwosa na-

kładem redakcyi „Przeglądu tygodniowego“ p. n. „Humoreski z teki Worszyłły“. Składają się na ten tom dwie obszerniejsze nowele: — 1) Nikt nie jest prorokiem między swymi“, — i 2) „Dwie drogi“. Równocześnie z pojawieniem się tej pracy wchodzi Sienkiewicz w skład redakcyi „Nowin“, które zasila krytykami literackimi i teatralnemi. Pracuje również i w „Gazecie polskiej“ i umieszcza w niej stale cięte, dowcipu i werwy pełne felietony w rubryce: „Chwila obecna“. W tym też czasie ukazuje się trylogia nowelistyczna: „Stary sługa“, „Hania“, „Selim mirza.“

Nastąpiła okoliczność, niezmiernie dla literatury i dla twórcy „Krzyżaków“ doniosła: wyjazd Sienkiewicza do Ameryki północnej z okazji powszechnej wystawy w Filadelfii.

„Przejechałem — mówi w swych „Listach“ — Niemcy, Francję, całą długość Angli, przepłynąłem na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie, jak ptak na skrzydłach, przeleciałem niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od New-Yorku do San Francisco i strząsnąłem proch z obuwia swego na brzegach Oceanu Spokojnego.“

Widok wspaniałych, ogromnych i dzikich obrazów, poznanie nowych stosunków i obyczajów podziało nader silnie na młodego pisarza; z Ameryki pisuje też świetne swe „Listy z podróży“ do „Gazety polskiej“, a w dowód ciągłej o kraju rodzinnym pamięci, głosi swego czasu nowelę p. t. „Szkice węglem“.

W r. 1877. wraca Sienkiewicz do Europy i przebywa kolejno we Włoszech i we Francyi, gdzie powstaje szereg prac nowych, za arcydzieła powszechnie uznanych: „Orso“, „Przez stepy“, „Janko muzykant“, i „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“. Na czas pobytu we Francyi przypada też znajomość z Asny-

kiem, który niemały wpływ wywarł na przyszłego twórcę „Quo vadis?“. Po powrocie do kraju pracuje Sienkiewicz w dalszym ciągu w „Niwie“, gdzie umieszcza „Mieszaniny literacko-artystyczne“, — równocześnie zaś tworzy mały obrazek dramatyczny „Czyja wina?“ tudzież nowele: „Za chlebem“, „Niewola tatarska“, „Bartek zwycięzca“, „Jamioł“, „Latarnik“ (najwybitniejsze arcydzieło nowelistyczne mistrza), — i duży, społeczny dramat p. t. „Na jedną kartę.“

Niebawem następuje bardzo doniosły, epokowy zwrot w dotychczasowej twórczości Sienkiewicza, dzięki któremu literatura polska wzbogaciła się dziełami pomnikowej wartości, a o zwrocie wspomnianym pisze znakomity nasz autor do jednego z przyjaciół: — „Uczułem niesmak do nowelek, do bohaterów — liliputów, do rozczulania się na kwincie za cienko brzmiącej, do swoich i cudzych utworów tego rodzaju, powiedziałem więc sobie: — „iam satis!“ i próbuję na inną nutę... Tam wszystko takie wyraźne i wielkie w przeciwstawieniu do marności dzisiejszego życia..“

Data tego znamiennego zwrotu: — rok 1884, na który przypada druk olbrzymiej „w ciągu kilku lat i w niemałym trudzie — dla pokrzepienia serc“ w rozmaitych miejscowościach pisanej trylogii: „Ogniem i mieczem“ (4 tomy), „Potop“ (6 tomów), „Pan Wołodyjowski“ (3 tomy). Rozgłos wprost bezprzykładny w dziejach naszej literatury pozyskały te prace natychmiast po pojawieniu się swoim w łamach warszawskiego „Słowa“, (którego Sienkiewicz był redaktorem podówczas) i dziś niema Polaka, któryby ich nie znał, nie czytał, nie kochał i nie zachwycał się nimi.

Wyjeżdża następnie Sienkiewicz do Włoch, do

Konstantynopola i Aten a wycieczkę tę kończy na teraz na Hiszpanii i z tego okresu datuje się powstanie utworów: „Sachem“, „Sielanka“, „Wspomnienie z Maripozy“. „Walka byków w Hiszpanii“, „Wycieczka do Aten“, „Z puszczy Białowieskiej“, „Wyrok Zeusa“, „Z wrażeń włoskich“, i „Listy o Zoli“. W roku 1888. powstaje w Ostendzie „Ta trzecia“, a tego samego roku w Zakopanem „Lux in tenebris lucet“ i obszerna psychologiczna, trzy-tomowa powieść p. t. „Bez dogmatu.“

W roku 1891. wyjechał jej twórca do Afryki, gdzie zwiedził Egipt, Bagamojo, Zanzibar, — a wrażenia swoje utrwalił w „Listach z Afryki“, arcydziele naszej literatury podróżniczej. Po powrocie do Warszawy rzucił na łamy „Tygodnika ilustrowanego“ piękny obrazek z czasów Chrystusowych p. t. „Pójdźmy za Nim“, — a w roku 1893. wydał obszerną, trzytomową powieść: „Rodzina Połanieckich“, pisaną w różnych miejscach pobytu, głównie w Warszawie oraz w Parc St. Maur, wsi należącej do przyjaciela swego, Abakanowicza, znanego elektrotechnika, a położonej o 25 minut drogi od Paryża. Rok 1895 przyniósł słynną, znakomitą powieść z czasów panowania Nerona, tworzoną częściowo w Warszawie, Parc St. Maur, Ploumanah i Nicei, — „Quo vadis“. Powieść ta, przełożona prawie na wszystkie języki europejskie, rozniosła szeroko imię swego twórcy i zdobyła mu wszechświatową sławę, po niej nastąpiła nowela, „Na jasnym brzegu“, obrazek „Na Olimpie“, komedyjka: „Zagłoba swatem“, z większych zaś dzieł „Krzyżacy“ (r. 1900.)

W roku jego jubileuszu (1901.) obdarzył go ogół polski wspaniałą rezydencją w Oblegorku, w Królestwie polskiem; — obecnie w łamach „Bie-

siady literackiej" w Warszawie ukazuje się częściowo nowa powieść zasłużonego jubilata z czasów Jana III. Sobieskiego i nieśmiertelnej odsieczy wiedeńskiej p. t. „Na polu chwały“.



Jest Sienkiewicz pisarzem tej miary, że mu równych w piśmiennictwie współczesnem mało znaleźć można. Na polu nowelistyki, bo o tę stronę tworzenia głównie nam tu chodzi, stoi on w rzędzie pierwszych, którzy z tego drobnego na pozór rodzaju zrobili u nas mistrzowski typ twórczości a prace takie jak „Pamiętnik poznańskiego nauczyciela“ lub zwłaszcza „Latarnik“ mogą śmiało współzawodniczyć z najlepszymi nowelami literatury powszechnej. Jest w nich nadto duch rdzennie polski, głębokie, wzniosłe uczucie patryotyczne, co sprawia, że omawiane utwory stają się pomnikiem krwawej martyrologii dusz porobiorowych, zmuszonych od dzieciństwa, żyć w atmosferze przemocy i nienawiści (Michał) lub tułać się z miejsca na miejsce z sercem pękającym od żalu (Skawiński.) Ostatnia głównie postać, bolesny wyraz smutnego nad wszelkie powiedzenie stanu społeczeństwa naszego, przedmiot straszliwych, zawistnych igraszek losu, — to zarazem przepiękny obraz ukochania Ojczyzny i bezbrzeżnej, przeraźliwej tęsknoty za Utraconą.

I z nich i z wszystkich dzieł wielkiego pisarza technicznie czyste, szlachetne uczucie, umysł rozległy, bogaty i znakomita obserwacja zjawisk, prześliczny, dźwięczny, szczeropolski język a przede wszystkim plastyka wprost nieznównana, sprawiająca, że każde dzieło żyje pełnią prawdziwego życia, że staje się

niemal obrazem w najdrobniejszych szczegółach przepysnie wykończonym.

Twórca scen takich, jak oblężenie Zbaraża czy Częstochowy, jak epizod w cyrku Nerona lub w zamku krzyżackim po zwabieniu do niego Juranda, autor obrazów tak świetnych, jak Grunwald lub pożar Rzymu, piewca uczuć najwyższych, najświętszych, na których odtworzenie trzeba czegoś więcej niż słowo, a które tak mistrzowsko łkają w całej postaci tułacza-latarnika, nareszcie malarz postaci tak doskonałych pod względem psychologicznym, jak Kmicic, Olenka, Chmielnicki, Radziwiłł, Czarniecki, Bohun, Zagłoba, Petroniusz, Nero, Chilo, Jurand czy ks. Kałeb: — godnym jest nazwy wielkiego poety a przez to i czci i miłości ziomków, o których przypomniał światu sławą swych wielkich arcydzieł.



BOLESŁAW PRUS.

Znakomity i ze wszech miar czcigodny autor „Faraona“, Aleksander Głowacki (występujący w literaturze pod pseudonimem: — Bolesław Prus —) urodził się w Puławach (Lubelskie) dnia 8. sierpnia 1847 r. Początkowe studia odbywał między r. 1856-66 w Lublinie, wyższe w warszawskiej Szkole Głównej, gdzie zapisał się na wydział matematyczno-przyrodniczy i był, jak mówi o sobie „fanatykiem matematyki“ i nauk na rozmyślaniu i doświadczeniu opartych, fizyki, statystyki, ekonomii, chemii. Studyował obok tego logikę, psychologię i dzieła filozoficzne. Po chlubnem ukończeniu nauk, pracował przez czas pewien w elektrotechnicznych warsztatach Lilpopa i Rau, literaturze oddaje się od r. 1872. a zawód ten rozpoczął od prac publicystycznych i od tłumaczenia kilku dzieł naukowych. Redagował następnie humorystyczną „Muchę“, pisywał w „Opiekunie domowym“, wślawił się zaś niezrównanemi pod względem humoru i bogactwa uwag, wszystkich stron życia dotykającemi kronikami w „Kuryerze Warszawskim“ a później „Codziennym“.

Jako publicysta miał na oku zawsze prawdę i dobro społeczne w najwyższem tego wyrazu znaczeniu, ukazywał też stale trzy najwznioślejsze cele, unoszące się nad ludzkością: — szczęście, użyteczność oraz doskonałość. Ukochawszy wszystko, co biedne i nieszczęśliwe, współczując sierocęj doli uciśnionych,

wzywał Prus w każdej kronice, w każdym artykule dziennikarskim do obywatelskiej działalności i pracy, budził sumienie ogółu, a dotyczył spraw niezliczonych, materji najróżnorodniejszych, poczynawszy od tanich kuchni, skończywszy na palącej kwestyi żydowskiej. Trzymając nieustannie pracowitą dłoń na pulsie bieżącego życia, kierował czcigodny pisarz przez długi szereg lat opinią publiczną, — pracę zaś twórczą rozpoczął od drobnych nowel i obrazków, gdzie dawał ujście humorowi zrazu rubasznemu, zaczem poszły jednakże arcydzieła nowelistyczne, dziecięce i ludowe, z szarych dni życia miejskiego czerpane, społeczne i psychologiczne, fantastyczne wreszcie ostatnio, nieoszacowane skarby uczucia i filozofii autora, zwarte w ulotne poemaciki prozą i legendy, którym brak jeno wiersza, aby stały się wprost mistrzowskim wykwitem poezyi filozoficzno-lirycznej.

Długi szereg tych prac objęty jest kilku tomami a oto ich tytuły i daty pojawienia się w świecie: „To i owo, właściwie zaś ni to, ni owo, czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci“ (1874), „Drobiazgi“ (1890), „Opowiadania wieczorne“, „Szkice i obrazki“ (1885), — wreszcie „Pisma“ (tanie wydanie jubileuszowe w 4. tomach, r. 1897) —

Niezmierna zacność człowieka i pisarza przebija z tych kart niezliczonych, gdzie bohaterami najczęściej wykołejeni, smutni, zapomniani, gdzie drży na każdym miejscu serdeczne ukochanie człowieka, spowiada się litość i troska lub tętni gromka pobudka do czynu.

Czytanie prac Głowackiego to biesiada zarówno dla serca, jak dla umysłu i fantazyi ludzkiej, — i czy utworom tym na imię: „Lalka“, czy „Powrotna fala“, czy też „Placówka“, „Antek“ lub „Anielka“: — wszę-

dzie ta sama gorąca i szlachetna dusza, wszędzie ten ton serdeczny i choć humorem pokryta, rzewna co chwilę łśni łza.

Najwybitniejsze nowele autora „Emancypantek“ to: „Anielka“, „Michałko“, „Powrotna fala“, „Antek“, „Kamizelka“, „Katarynka“, „Grzechy dzieciństwa“, „Przygoda Stasia“, „Omyłka“, „Z żywotów świętych“, „Z legend dawnego Egiptu“, — na koniec śliczny „Sen“.

Obok tych drobnych, czasami zaprawdę miniaturowych pereł literackich, napisał Prus parę powieści, rozmiarami bardzo rozległych, bogactwem treści, epizodów, szczegółów poprostu imponujących, doskonałych pod względem układu i kompozycji pisarskiej a zewsząd, z każdej stronicy wygląda twarz altruisty, w odtwarzaniu grup całych i poszczególnych postaci nieporównanego psychologa i znawcy duszy ludzkiej, realisty badacza, z którym walczy o lepsze lotna, uskrzydłona fantazja, oceany marzeń kołyszącego w sobie entuzjasty, — łagodnie, dobrotnie uśmiechnięte oblicze świetnego przedstawiciela nielicznej garstki polskich humorystów, dziedzica figlików Jana z Czarnolasu, żywego wcielenia idei: „Chodząc po ziemi, trzymać głowę w niebie“.

Powieści te, to: „Placówka“, „Lalka“, „Emancypantki“ i epokowy „Faraon“.

Pierwsza maluje nam posterunek i jego dla narodu naszego znaczenie, ślepo, namiętnie przywiązanie do swej roli chłopca, dzięki któremu Niemcy precz muszą iść ze wsi, — druga ukazuje dosadnie tragedję człowieka czynu w zetknięciu się ze światem ciszy i egoizmu, trzecia stwarza szereg doskonale zaobserwowanych, wspaniale oddanych postaci niewieścich, a zwłaszcza jednej, Madzi, żywego ucieleśnienia

„geniusza uczucia“, ostatnia wreszcie, „Faraon“, to jeden z najdoskonalej zbudowanych utworów w belletrystyce polskiej, wynik wszechstronnej erudycji Prusa, gdzie obok nikłych danych historycznych, trzeba się posiłkować co krok wyobraźnią, a liczyć się z każdym pociągnięciem pióra, by się jej zbyt przecz nie dać unieść i dać społecznym pracę, niezmiernie do prawdy zbliżoną, jedyny pomnik historyzofii w powieści powszechnej.

W „Placówce“ staje się Slimak bezwiednie bojownikiem narodowej sprawy, w „Lalce“ Wokulski sprawcą szczęścia bliźnich, w „Emancypantkach“ słodycz sieje dobroć z zaparciem własnem służąc wzniosłej prawdzie, we „Faraonie“, święci tryumf miłość mimo upadku młodego Ramzesa: — więc wszędzie instynkt społeczny, wszędzie obowiązek, ideał wieczysty, wszędzie Bóg, ziemia, człowiek, — owoc rozmyślań i etyki Prusa, niosącego bardzo wysoko sztandar posłannictwa obywatela-artysty.

KAMIZELKA.

Drobiazg a arcydzieło! W maleńkich ramach obrazka ujęty tu został wstrząsający dramat mieszczański a przedstawił go Prus z takim ciepłem, z tak głębokiem współczuciem nad niedolą ludzką, że mimowoli czuje się łyzy pod powieką. Treść tak powszednia w naszym miejskiem życiu! Bieda, ta dumna, jak świat stara bieda, nie dająca się skarżyć na się jednym słówkiem, zmusza młode małżeństwo do przechodzącej ludzkie siły pracy, a skąpiąc pożywienia, opału, spocznienia i zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb egzystencyi, powala nędznie sytuowanego urzędnika na śmiertelne łóżko suchotnicze. Rzecz tak

zwyczajna w świecie i codzienna i tylekroć poruszana już w powieściopisarstwie, że przesłaby bez silniejszego, trwalszego wrażenia, gdyby nie ta rezygnacyja cicha, przeraźliwa w swoim milczeniu i gdyby nie ta jasna, serdeczna, w myśl Bożego zakonu ofiarnicza miłość, co się nie waha nawet w błąd wprowadzać i oszukiwać szlachetnie, byle kochającej i ukochanej istocie osłodzić przykre dni smutku i uśmiech rozpogodzenia na twarz jej znękaną wywołać. Posuwanie sprzączki i skracanie paska kamizelki, rzecz w gruncie tak prozaiczna, ze względu na motywy działania tyle przecież zawiera poezyi i tak mistrzowsko gra na sercu ludzkim, że tylko liryk tej miary, co Prus, mógł ją tak miłą uczynić i piękną.

Lecz Prus nie każe wątpić. Dla niego cierpienie jest szczeblem doskonałości, nie należy mu przeto złorzeczyć. Kończy też swój obrazek znamionem, z głębokiej wiary zrodzonym pytaniem: — „Któż jednak powie, że za temi chmurami niema słońca?...“



ANTEK.

Dziwnie bogata jest twórczość Prusa. Dalekowidzącym wzrokiem dostrzegł zamyśloną twarz dziecka, opromienioną od najrańszych dni marzeniem i ideałem i przedstawił nam życie chłopca, którego hodowała wieś polska ale który z swem otoczeniem nie zgola nie ma wspólnego. I tę tragedję duszy, dopiero-co rozbudzonej, ten cichy dramat urodzonego artysty, rzeźbiącego w drzewie, pod sercem wykołysane obrazy, przedstawił autor, jak zwykle, po prostu a przepięknie. Niezrozumiany przez najbliższych Antek, wychowany w atmosferze troski o chleb

powszedni, przesądu i zabobonu, odpychany przez t. zw. „szkołę“, zgoła na miano uczelni nie zasługującą, odsuwany od samoistnej pracy przez kowala, do którego go dzieckiem oddano — musi iść w świat między ludzi i sam o siebie się starać, bo mu we wsi za ciasno, bo tego, czego mu trzeba do szczęścia, nie może znaleźć między swoimi. Pełnia bujnego życia nie bytowanie śródwiejskie rozwinąć może jedynie uczucia złożone na dnie duszy chłopca, który się czuł najszczęśliwszym, gdy z drzewa strugał wiatraki lub kiedy słyszał huk młotów, walących rozpalone żelazo przy stałym dźwięku metalu, przy tej tak górnej i olbrzymiej pieśni, że jej aż las wtórzył echem.

„Więc jeśli kiedy napotkacie chłopca wiejskiego, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć, podajcie mu rękę pomocy.“ Będzie to nasz mały brat, Antek w którego duszy tli promienna iskra;—wydobyć ją:—wstanie człowiek!

Nowela niniejsza łączy w sobie wszystkie właściwości Prusa. I doskonałą znajomość psychologii dziecka oraz ludu i humor pełen swobody, na dnie którego tai się łza rozrzewnienia i wzruszające obrazy (scena z krzyżykiem, pożegnanie z matką) i wreszcie ową charakteryzującą znakomitego autora „Placówki“ prostotę, dzięki której osiąga Prus gorące współczucie dla swego nieletniego bohatera i niepodzielnie pozyskuje dla siebie zdumionego i oddanego mu całą duszą czytelnika.

SEN.

Najpiękniejsze z arcydzieł nowelistycznych Prusa: — „Sen“ — to esencja filozofii wielkiego pisarza, to jego wzniosłe *credo* o konieczności, pożytku

i błogosławionej w życiu ziemskim misji — Cierpienia. Stanem przejściowym i zbyt krótkotrwałym jest nasz byt doczesny, bez echa wszakże nie przejdzie, jak nic na świecie nie może zginąć bez śladu. Przyjdzie czas świętej, wieczystej harmonii, zło zginie bezpowrotnie, lecz nim ta chwila nastąpi, jest nader ważnym czynnikiem na świecie, bo ludzkość prowadzi na coraz wyższe stopnie udoskonalenia i jest jej mistrzem i nauczycielem. Rozwija się duch człowieka, uczy się cenić Dobro, rozrasta się potężnie, ilekroć dotkną go ciosy cierpienia, — podobnie jak dusza owego studenta medycyny, walczącego ciągle jeno z niedostatkiem i złożonego nakoniec chorobą.

Wizya jego w stanie gorączkowym, to piękny, głęboki symbol istnienia ziemskiego, które tem jaśniej przedstawia się *z tamtej strony*, gdy je uszlachetniło cierpienie, ból i niedola. Życie i rzeczywistość, olbrzymi, nieujęty, granitowy posąg da się ogarnąć tylko okiem duszy, lecz na wysiłki mózgu i doświadczeń zbyt wielki jest, zbyt ogromny, by go istność setek pokoleń mogła zmierzyć od stóp do czoła.

Godnym największego poety pomysłem jest owa wizya duszy a zwłaszcza scena w kuźni, właściwem jeno największemu sercu i umysłowi twierdzenie: „Jestem cierpienie; gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materji.“



ELIZA ORZESZKOWA.

Nestor autorek polskich, Eliza z Pawłowskich Orzeszkowa, ujrzała światło dzienne w Milkowszczyźnie (w pobliżu Grodna) w r. 1842. Dzieciństwo przepędziła we wsi rodzinnej pod opieką matki — (ojciec odumarł ją wcześniej), — i pod światłem kierownictwem ukochanej babki, Elżbiety z Kaszubów Kamieńskiej. Wdziesiątym roku życia oddano ją na pensję PP. Sakramentek w Warszawie, gdzie prawie pięć lat przepędziła na nauce i gdzie już objawiło się powołanie literackie przyszłej autorki „Chama“ w drobnych, ulotnych wierszach. Nie mając jeszcze szesnastu lat ukończonych wyszła za mąż za Piotra Orzeszkę, właściciela majątku Ludwinów na Polesiu wołyńskim, w ślad za tem poszła jej działalność społeczno-obywatelska i literacka twórczość. Oddana pod nadzór władz, z powodu zniweczonego w zarodku przez rząd rosyjski wydawnictwa dzieł poważnych w Wilnie, przebywa stale w Grodnie oddając się literaturze.

Orzeszkowa doskonale dostraja się do wysokiego poziomu dwóch najwybitniejszych powieściopisarzy naszych i tworzy w ten sposób wraz z nimi najznakomitszą trójkę beletrystów w literaturze polskiej. Arcymistrzowskie malowidła zewnętrznych objawów życia — Sienkiewicza i pełne powagi i głębi kompozycje Prusa, z najskrytszych tajni istnienia czerpa-

ne, — są najgodniejszym wtórem i harmonią dla męskich prac Orzeszkowej, stawiających ją w rzędzie najczcigodniejszych bojowników o prawdę i o światło.

Zdumiewa Orzeszkowa mnogością swych utworów, olśniewa niesłychanem bogactwem motywów. Rozpocząwszy działalność literacką w r. 1866. „Obrazkiem z lat głodowych“, snuje odtąd sędziwa autorka nieprzerwanie i niezmordowanie dalsze swoje dzieła, we wszystkie kładąc współczucie dla nędzy i nieszcześcia i ból na widok smutku lub ciemnoty.

W pracach swych pierwszych („Ostatnia miłość“, „Na prowincyi“, „W klatce“, „Z życia realisty“) chłostała wady i usterki nasze: — życie bez celu, powierzchowne, płytkie, ambicję chorobliwą i wygórowaną, lekkomyślność, płochość, w dalszych napadała na złe, bezduszne, nie przygotowujące do życia o własnych siłach i nie uczące poczucia obowiązków obywatelskich, wychowanie niewiast („Pan Graba“, „Martha“, „Pamiętnik Wacławy“), sumiennie i bez uprzedzeń rozpatrywała kwestyę żydowską („Eli Makower“, „Meir Ezofowicz“), bolała nad upadaniem naszych majątków ziemskich — a gdy wydoskonaliła swój wszechstronny talent i pióro, stworzyła kilkadziesiąt drobnych i wielkich arcydzieł i szukając cichych, biednych i upośledzonych, dobywała z serc ich promienie, budząc litość i umiłowanie smutnej, szarej doli „sfer różnych“. Więc nas prowadziła do dworów i do zaścianków, na pola nadniemeńskie, do kurnych chat wieśniaczych i ciemnych izb mieszczańskich, do pensyonatów pańieńskich i poważnych pracowni uczonych, do chajderów wreszcie żydowskich i rzemieślniczych warsztatów, — wszędzie, gdzie jeno dostrzegła rys zdolny wzbudzić sympatyę. Popłynął prac cały szereg, wszystkie nacechowane poważną, mądrą myślą i troską oby-

watelską, zdrową, przepojone doradą i podniosłem hasłem, wszystkie pisane językiem klasycznym w swej czystości, jedynym i szczerze pięknym, wszystkie nakoniec tchnące słodyczą iście niewieścią, spokojem, czasami siłą, zawsze zaś i przede wszystkim ukochaniem kraju, którego przyrodę a w pierwszym rzędzie florę gruntownie zdołała poznać, by w dziełach swoich rozpostrzeć przepiękne obrazy z jej życia i rozlać wspaniałe hymny na cześć przyrody-matki.

Z sześćdziesięciu przeszło tomów Orzeszkowej najwybitniejsze są powieści takie, jak: „Cham“, „Nad Niemnem“, „Niziny“, „Meir Ezofowicz“, „Bene nati“, „Jędrza“, „Argonauci“, „Australczyk“, „Dwa bieguny“, wkońcu wspólnie z Juliuszem Romskim stworzone „Ad astra“.

Nowel, kwiatów najczystszej uczucia melancholii i zadumania nad dolą istot przeważnie cierpiących, skreśliła całe dziesiątki i ujęła je w tomy: „Z różnych sfer“, „Panna Antonina“, „Drobiazgi“, „W zimowy wieczór“, „Stare obrazki“, „Melancholicy“, „Przędze“, „Chwile“, „Iskry“, — z ostatnich dwóch wyjęliśmy zamieszczone w antologii niniejszej: „Moment“ i „Babunia“.

Wybór najwybitniejszych utworów autorki ukazał się w cztero-tomowym, tanim wydaniu warszawskim w r. 1899.

BABUNIA.

Ukochała Orzeszkowa przede wszystkim egzystencye ciche, miękkie, skupione w sobie i taką jest jej staruszka w zamieszczonej poniżej noweli. Szczęśliwa niegdyś przed laty, przy boku uwielbianego,



pocziwego męża, wesoła i kochana, dziś opuszczona i zapominana, czuje się obcą swym najbliższym nawet, synowi i jego zonie, — szlachetne, zacne serce nie oskarża przecież nikogo. Dużo goryczy i głuchego żalu niesie jej starcze sieroctwo, najboleśniejże wówczas, gdy od łóżeczka chorego a ukochanego przez nią nad wyraz wnuka, kazano jej odejść precz, jej, najpocziwszej z babek. Bezsenność spędzi noc zdala od przywiązanego wnuczęcia ale osłoda boleści jest radość na widok starego druha z lat młodzieńczych, kurantowego zegara, przy którego melodii otwiera się przed starowiną jasny wirydarz wspomnień i niebo z pomarłemi dawno postaciami, z tą najukochańszą przedewszystkiem, przypominaniem której kończy się każdy jej dzień. Korowód wspomnień przeciąga w półśnie babuni, przy szumnych dźwiękach znanego z młodych lat poloneza, przy zaświatowej muzyce niebiańskiej: — budzi się rozpromieniona widokiem nieba i swoich, silniejsza, ach, tak silna, że jej nikt nie śmie stanąć wpoprzek drogi do łóżeczka dziecka, które ukaja z czułością zacnej macierzy polskiej. A z dna całego utworu wybija się poszept natchniony: — „Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic.“

M O M E N T.

Prześliczna, wielka pieśń na cześć uczucia i poezyi świata, która ból koi sierocy i lubo sama smutna, wytrwanie sący w pierś bliźnich! Zawiedziona w miłości artystka, przedmiot uwielbień i zachwyków stolic, tu w tem milczącym odludziu, staje jak nieszczęśliwy rozbitek a talent jej, słodki dar nieba, ulgę

krzepiącą przynosi zbolełym mieszkańcom miasteczka. Kędy włóczyła się jedynie proza, gdzie duch upadał pod brzemieniem trosk, gdzie wiara gasła, marł zachwyt nad pięknem świata i przyrody, — zalsniło słońce poezji. Otworzyły się oczy na księżyc, płynący nad ziemią i światło siejący kojące, ujrzały krzyż na kościółku, a w głębiach miłość i litość — i po raz pierwszy od lat wyrozumienie wstało w sercu Chaima i Małki, po raz pierwszy zawisły ufnie na symbolu zbawienia źrenice paralityczki i zapłakał ojciec sierocy, po raz jedyny może przestało czuć głód i jarzmo zgarbione od pracy chłopię. Moment ekstazy, zapomnienia, szczęścia!

Pieśń znakomitej śpiewaczki zrazu bezdennie smutna i nad własnym rozplakana losem, przechodzi w hymn Bożej chwały, w serdeczną prośbę za drugich i wiedzie za sobą serca zachwyczone jej grą przeczystą. Bo taką jest moc wybranych, piastunów Prawdy i Piękna: geniuszów, artystów natchnionych, bohaterów, wieszczów, że osobisty ból wypiera z dusz, a rodzi myśl o współbraciach.



KAMIZELKA.

Za łaskawem zezwoleniem Autora.

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości, kosztowniejszych, lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazjum na lekcyach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowemi, jest...

Zdaje się, że niema nic więcej, oprócz pewnej, bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiały, a tył przetarty. Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzążka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości, jest pokłuty zębami sprzążki.

Patrząc na to, odrazu domyślasz się, że właściciel odzienia zapewne codziennie chudnął i wreszcie dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mam, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnemi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się u mnie, ale w mieszkaniu blizkich sąsiadów. Z okna mogłem codziennie spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, ile wiem, na kuferku za szafą. Szafa była ciemno-wiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan, bo służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i codziennie gotowali obiady.

W październiku została już tylko — pani sama jedna. To jest nie zupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada, sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani, ze wszystkich pamiątek po mężu, została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada, pewnego dnia, pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzała w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu, i — znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol i, owinawszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruzczał:

— Handel, panowie, handel!

Zawołałem go.

— Pan dobrodziej ma co do sprzedania! — zapytał, wchodząc.

— Nie, chcę od ciebie coś kupić.

— Pewnie wielmożny pan chce parasol?... — odparł żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsł śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

— A fajn mebel!... — mówił. — Na taki śnieg, to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!

— Co chcesz za kamizelkę? — spytałem.

— *Jakie kamizelkie?*... — odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swej własnej.

Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

— *Za te kamizelkie?*... Pan dobrodziej pyta się o te kamizelkie?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

— Co wielmożnego pana *po take kamizelkie?*!...

— Ile chcesz za nią?

Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Da wielmożny pan... rubelka! — odparł, roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, ażeby okazać wszystkie jego zalety.

— Dam ci pół rubla.

— Pół rubla?... *taky ubjór*?... To nie może być! — mówił handlarz.

— Ani grosza więcej.

— Niech wielmożny Pan żartuje zdrów!... — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu. — Pan sam wi, co taka rzecz jest warta. To przecie nie jest *ubjór* na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

— No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to idź. Ja więcej nie dam.

— Ino niech się pan nie gniewa! — przerwał, mięknięc. — Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale ja zdaję się na pański rozum... Niech pan sam powie: co to jest wart, a ja się zgodzę!... Ja wolę dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

— Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja ci daję pół rubla.

— Pół rubla? Niech będzie już pół rubla!... — westchnął, wpychając mi kamizelkę w ręce. — Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten *wjatr*!...

I wskazał ręką okno, za którym kłębił się tuman śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz widocznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

— Czegoż ty tam szukasz?

— Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! — odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi nabytek, dodał: — Niech jaśnie pan dołoży choć z *cziesiatkę*!...

— No, bywaj zdrów! — rzekłem, otwierając drzwi.

— Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo porządne futro...

I jeszcze z za progu wytknąwszy głowę, zapytał:

— A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych?...

W parę minut znowu wołał na podwórzu: „Handel! handel!...” — a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem.

Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchnęło

się. Położyłem kamizelkę na stole i zacząłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę niewiadomo dokąd, to o mieszkaniu, stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu, słyszałem, jak w pogodny dzień wrześnieowy rozmawiali z sobą. W maju pani raz nawet — nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się, czytając „Kuryera Świątecznego“. A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcye, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem, jak podróżnik na Tatrzy. Za to musiał dużo pracować po całych dniach. Widywałem go nawet o północy, przy lampie, zgiętego nad stołikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego, przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

— No, już dość będzie, połóż się spać.

— A ty kiedy pójdziesz spać?...

— Ja... jeszcze tylko dokończę parę ściągów...

— No, to i ja napiszę parę wierszy...

Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje. I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

— Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar, wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydcy, wogóle spokojni. Ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedziela koło południa, wychodzili na spacer, trzymając się pod ręce, i wracali do domu późnym wieczorem. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz, spotkałem ich przy bramie, oddzielającej ogród Botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przytem spokojne fizyognomie mieszczan, którzy zwykli jadąć przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

Wogóle biednym ludziom niewiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom jak się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona, utuliwszy go na łóżku, sprowadziła do pokoju stróżową, a sama pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwo jednego i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor spojrzawszy na nią, przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne przedewszystkiem ją uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc podał jej rękę, i idąc, tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

— Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie nie kaszlał...

— O, tylko czasami! — szepnęła pani, zatrzymując się dla nabrania tchu.

— Czasami, to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

— Tak... to katar! — powtórzyła pani, już głośno.

— Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

— Owszem!... — odparła pani, znowu stając.

Trochę się nogi pod nią chwiały.

— Tak, ale zapewne już dawno!... — pochwycił lekarz.

— O, bardzo... bardzo dawno!... — potwierdziła z pośpiechem. — Jeszcze tamtej zimy.

— Półtora roku temu.

— Nie... Ale jeszcze przed Nowym rokiem... O, już dawno!

— A!... Jaka to ciemna ulica, a w dodatku niebo trochę zasłonięte... — mówił lekarz.

Weszli do domu. Pani z trwogą zapytała stróża: co słyszać? — i dowiedziała się, że nic. W mieszkaniu stróżowa także powiedziała jej, że nic nie słyszać, a chory drzemał.

Lekarz ostrożnie obudził go, wybadał i także powiedział, że to nic.

— Ja zaraz mówiłem, że to nic! — odezwał się chory.

— O, nic!... — powtórzyła pani, ściskając jego spoutniałe ręce. — Wiem przecie, że krwotok może być z żołądka, albo z nosa. U ciebie pewnie z nosa... Tyś taki tęgi, potrzebujesz ruchu, a ciągle siedzisz... Prawda, panie doktorze, że on potrzebuje ruchu?...

— Tak, tak!... Ruch jest wogóle potrzebny, ale małżonek pani musi parę dni poleżeć. Czy może wyjechać na wieś?

— Nie może... — szepnęła pani ze smutkiem.

— No, to nic! Więc zostanie w Warszawie. Ja będę go odwiedzał, a tymczasem niech sobie poleży i odpocznie. Gdyby się zaś krwotok powtórzył... — dodał lekarz.

— To co, panie? — spytała żona, blednąc jak воск.

— No, to nic! Mąż pani wypocznie, tam się zasklepi...

— Tam... w nosie? — mówiła pani, składając przed doktorem ręce.

— Tak... w nosie! Rozumie się. Niech pani uspokoi się, a resztę zdać na Boga. Dobranoc.

Słowa doktora tak uspokoiły panią, że po trwodze, którą przechodziła od kilku godzin, zrobiło się jej prawie wesoło.

— No, i cóż to tak wielkiego! — rzekła, trochę śmiejąc się, a trochę popłakując.

Uklękła przy łóżku chorego i zaczęła całować go po rękach.

— Cóż tak wielkiego! — powtórzył pan cicho i uśmiechnął się. — Ile to krwi na wojnie z człowieka upływa, a jednak jest potem zdrow!...

— Już tylko nic nie mów — prosiła go pani.

Na dworze zaczęło świtać. W lecie, jak wiadomo, noce są bardzo krótkie.

Choroba przeciągnęła się znacznie dłużej, niż myślano. Mąż nie chodził już do biura, co mu tem mniej robiło kłopotu, że jako urzędnik najemny, nie potrzebował brać urlopu a mógł wrócić, kiedy mu się podobało — i jeśliby znalazł miejsce. Ponieważ, gdy siedział w mieszkaniu, był zdrowszy, więc pani wystarała się jeszcze o kilka lekcji na tydzień i za ich pomocą opędzała domowe potrzeby.

Wychodziła zwykle do miasta o ósmej rano. Około

pierwszej wracała na parę godzin do domu, ażeby ugotować mężowi obiad na maszynce, a potem znowu wybiegała na jakiś czas.

Za to już wieczory spędzali razem. Pani zaś, aby nie próżnować, brała trochę więcej do szycia.

Jakoś w końcu sierpnia spotkała się pani z doktorem na ulicy. Długo chodzili razem. Wkońcu pani schwyciła doktora za rękę i rzekła błagalnym tonem:

— Ale swoją drogą niech pan do nas przychodzi. Może też Bóg da!... On tak się uspokaja po każdej pańskiej wizycie...

Doktor obiecał, a pani wróciła do domu, jakby spłakana. Pan też, skutkiem przymusowego siedzenia, zrobił się jakiś drażliwy i zwątpiały. Zaczął wymawiać żonie, że jest zanadto o niego troskliwa, że on mimo to umrze, a wkońcu zapytał:

— Czy nie powiedział ci doktor, że ja nie przeżyję kilku miesięcy?

Pani zdreptała.

— Co ty mówisz? — rzekła. — Skąd ci takie myśli?...

Chory wpadł w gniew.

— Oo, chodź że tu do mnie, o tu!... — mówił gwałtownie, chwytając ją za ręce. — Patrz mi prosto w oczy i odpowiadaj: nie mówił ci doktor?

I utopił w niej rozgorączkowane spojrzenie. Zdawało się, że pod tym wzrokiem mur wyszeptaby tajemnicę, gdyby ją posiadał. Na twarzy kobiety ukazał się dziwny spokój. Uśmiechała się łagodnie, wytrzymując to dzikie spojrzenie. Tylko jej oczy jakby szkłem zaszkły.

— Doktor mówił — odparła — że to nic, tylko że musisz trochę wypocząć...

Mąż nagle puścił ją, zaczął drzeć i śmiać się, a potem machając ręką, rzekł:

— No widzisz, jakim ja nerwowy!... Koniecznie ubrdało mi się, że doktor zwątpił o mnie... Ale... przekonałaś mnie... Już jestem spokojny!...

I coraz weselej śmiał się ze swoich przywidzeń.

Zresztą taki atak podejrzliwości nigdy się już nie powtórzył. Łagodny spokój żony był przecie najlepszą dla chorego wskazówką, że stan jego nie jest zły.

Bo i z jakiej racji miał być zły?

Był wprawdzie kaszel, ale — to z kataru oskrzeli. Czasami, skutkiem długiego siedzenia, pokazywała się krew — z nosa. No, miewał też jakby gorączkę, ale właściwie nie była to gorączka, tylko — taki stan nerwowy.

Wogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzepartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz sił mu brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał leżeć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia, kładąc kamizelkę, uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

— Czybym aż tak schudł?... — szepnął.

— No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć — odparła żona. — Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu chory, więc nie ma powodu martwić się.

W początkach września nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej, prawie po całych dniach.

— To głupstwo! — mówił chory. — Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dlaczego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!...

Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory codzień wstawał z łóżka i ubierał się, chociaż bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

— Dziwić się tu — mówił nieraz, patrząc w lustro — dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

— No, twarz zawsze łatwo się zmienia — wtrąciła żona.

— Prawda, tylko, że ja i w sobie chudnę...

— Czy ci się nie zdaje? — spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości.

Zamyślił się.

— Ha! może i masz rację... Bo nawet... od kilku dni uważam, że... coś moja kamizelka...

— Dajże pokój! — przerwała pani — przecież nie utyleś...

— Kto wie? Bo jak uważam po kamizelce, to...

— W takim razie powinnyby ci wracać siły.

— Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

— A co ty tam robisz za szafą?... — spytał nagle.

— Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

— Nie wysilajże się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

— No, patrzajże. Sama się przekonaj: wczoraj mogłem tu jeszcze włożyć palec, o — tu... A dziś już nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł bardzo wzruszony:

— Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja z tą kamizelką, widzisz, trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, codzień sam ściągałem pasek i dlatego — kamizelka była ciasna... Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy wtem dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja, dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ściągać pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... było mi formalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej... No, teraz i ja wierzę, że będę zdrow.. Ja sam!... Niech doktor myśli, co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągania paszków zaczyna nabierać ciała, nie położył się, ale, jak w fotelu, oparł się w objęciach żony.

— No, no!... — szeptał — ktoby się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!... No... no!...

I przesiadzieli, tuląc się jedno do drugiego, cały wieczór.

Chory był wzruszony, jak nigdy.

— Mój Boże! — szeptał, całując żonę po rękę — a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy, dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrow. Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka — ta już nie skłamię!...

Dziś, patrząc na starą kamizelkę, widzę, że nad jej ściągaczami pracowały dwie osoby. Pan — codzień posuwał sprzążkę, ażeby uspokoić żonę, a pani codzień — skracала pasek, ażeby mężowi dodać otuchy.

„Czy znowu zejda się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?...“ — myślałem, patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg, taki gęsty i zimny, że nawet w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za temi chmurami niema słońca?...



A N T E K.

Antek urodził się we wsi, nad Wisłą.

Wieś leżała w niewielkiej dolinie. Od północy otaczały ją wzgórza spadziste, porośłe sosnowym lasem, a od południa wzgórze garbate, zasypane leszczyną, tarniną i głógiem. Tam najgłośniej śpiewały ptaki i najczęściej chodziły wiejskie dzieci rwać orzechy, albo wybierać gniazda.

Kiedyś stanął na środku wsi, - zdawało ci się, że oba pasma gór biegną ku sobie, ażeby zetknąć się tam, gdzie zrana wstaje czerwone słońce. Ale było to tylko złudzenie.

Za wsią bowiem ciągnęła się między wzgórzami dolina, przecięta rzeczulką i przykryta zieloną łąką.

Tam pasano bydłątko i tam cienkonogie bociany chodziły polować na żaby, kukające wieczorami.

Od zachodu wieś miała tamę, za tamą Wisłę, a za Wisłą znowu wzgórze wapienne, nagie.

Każdy chłopski dom, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, z pomiędzy których widać było komin, sadzą uczerniony i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono od niedawna, a ludzie myśleli, że one lepiej chronić będą chaty od ognia, niż dawniej bocianie gniazda. To też gdy płonął jaki budynek, dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.

— Widać, że na tego gospodarza był dopust Boski — mówili między sobą. — Spalił się, choć miał nową drabinę i choć zapłacił *straf* za starą, co to były u niej połamane szczeble.

W takiej wsi urodził się Antek. Położyli go w niemowlowanej kołysce, która została po zmarłym bracie i sypiał w niej przez dwa lata. Potem przyszła mu na świat siostra, Rozalia, więc musiał jej miejsca ustąpić, a sam, jako osoba dorosła, przenieść się na ławę.

Przez ten rok kołysał siostrę, a przez cały następny — rozglądał się po świecie. Raz wpadł w rzekę, drugi raz do-

stał batem od przejezdnego furmana za to, że go o mało konie nie stratały, a trzeci raz psy tak go pogryzły, że dwa tygodnie leżał na piecu. Doświadczył więc niemało. Za to w czwartym roku życia, ojciec podarował mu swoją sukienną kamizelkę z mosiężnym guzikiem, a matka kazała mu siostrę nosić.

Gdy miał pięć lat, użyto go już — do pasania świń. Ale Antek niebardzo się za nimi oglądał. Wolał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennem wzgórzem, raz po raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wyłaziło to z lewej strony, jakby z pod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tem pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie.

Tymczasem świnię, swoim obyczajem, włożyły w kartofle. Matka spostrzegłszy to, zawinęła się wedle sukiennej kamizelki Antkowej tak, że chłopiec prawie tchu nie mógł złapać. Ale że nie miał w sercu zawziętości, bo było z niego dziecko dobre, więc wykrzyczawszy się i wydrapawszy — kamizelkę, zapytał matki:

— Matulu! a co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka spojrziała w kierunku Antkowego palca, przysłoniła oczy ręką i odparła:

— Tam za Wisłą? Cóż to nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruje.

— Aha, wiatrak! A co on matulu, za jeden?

— At głupis! — odparła matka i uciekła do swojej roboty.

Gdzie ona miała czas i rozum do udzielania objaśnień o wiatrakach!

Ale chłopcu wiatrak spokojności nie dawał. Antek widywał go i w nocy, przez sen. Więc taka straszna urosła w chłopcu ciekawość, że jednego dnia zakradł się do promu, co ludzi na drugą stronę rzeki przewoził, i popłynął na Wisłę.

Popłynął, wdrapał się na wapienną górę, akurat w tem miejscu, gdzie stało ogłoszenie, aby tedy nie chodzić, i zobaczył wiatrak. Wydał mu się budynek ten jakby dzwonnica, tylko w sobie był grubszy, a tam, gdzie na dzwonnicy jest okno, miał cztery tęgie skrzydła, ustawione na krzyż. Z początku nie rozumiał nic — co to i na co to? Ale wnet ob-

jaśnili mu rzecz pastusi, więc dowiedział się o wszystkim. Naprzód o tem, że na skrzydła dmucha wiatr i kręci niemi, jak liśćmi. Dalej o tem, że w wiatraku wiele się zboże na mąkę, i nareszcie o tem, że przy wiatraku siedzi młynarz, który żonę bije, a taki jest mądry, że wie, jakim sposobem ze spichrzów wyprowadza się szczury.

Po takiej lekcji pogładowej, Antek wrócił do domu tą samą drogą, co pierwej. Dali mu tam przewoźnicy parę razy w łeb, za swoją krwawą pracę, dała mu i matka coś na sukienną kamizelkę, ale to nic: Antek był kontent, bo zaspokoił ciekawość. Więc choć położył się spać o głodzie, marzył całą noc, to o wiatraku, który wiele zboże, to o młynarzu, który bije żonę i szczury wyprowadza ze spichrzów.

Drobny ten wypadek stanowczo wpłynął na całe życie chłopca. Od tej pory — od wschodu do zachodu słońca — strugał on patyki i układał je na krzyż. Potem wystrugał sobie kolumnę; próbował, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie wybudował mały wiatraczek, który na wietrze obracał mu się tak, jak tamten za Wisłą.

Cóż to była za radość! Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!

Do dziesiątego roku życia zepsuł ze cztery koziki, ale bo też strugał niemi dziwne rzeczy. Robił wiatraki, płoty, drabiny, studnie a nawet całe chałupy. Aż się ludzie zastanawiali i mówili do matki, że z Antka albo będzie majster, albo wielki gałgan.

Przez ten czas urodził mu się jeszcze jeden brat, Wojtek, siostra podrosła, a ojca drzewo przytłukło w lesie.

W chacie była z Rozalią wielka wygoda. Dziewczyna zimą zamiatała izbę, nosiła wodę, a nawet potrafiła krupnik ugotować. Latem posyłano ją do bydła z Antkiem, bo chłopak zajęty struganiem, nigdy się nie pilnował. Co go nie nabili, nie naprosili, nie napłakali się nad nim! Chłopak krzyczał, obiecywał, płakał nawet razem z matką, ale robił swoje, a bydło wciąż w szkodę wchodziło.

Dopiero, gdy siostra razem z nim pasła, było lepiej; on strugał patyki, a ona pilnowała krów.

Nieraz matka, widząc, że dziewczucha choć młodsza, ma więcej rozumu i chęci, aniżeli Antek, załamywała z żalu ręce i lamentowała przed starym kumem Andrzejem:

— Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nie robi, ani bydła nie doglądnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego, mój Andrzej, nie będzie chyba gospodarz, ani parobek, tylko darmozjad, na śmiech ludziom i obrazę Boską!...

Andrzej, który za młodu praktykował flisactwo i dużo świata widział, tak pocieszał strapioną wdowę:

— Jużci gospodarzem on nie będzie, to darmo, bo on na to nie ma nawet dobrego rozumu. Jegoby zatem trza na-przód do szkoły, a potem do majstra. Nauczy się z książki, nauczy się rzemiosła, i jeżeli nie zgałganieje, będzie żył.

Na to wdowa odpowiedziała, wciąż łamiąc ręce:

— Oj, kumie, co wy też gadacie! A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Andrzej puścił dym z drewnianej fajeczki i rzekł:

— Jużci, że wstyd, ale rady na to niema nijakiej.

Potem zwracając się do Antka, siedzącego na podłedze przy ławie, zapytał:

— No gadaj, wisus, czem ty chcesz być? Gospodarzem, czy u majstra?

A Antek na to:

— Ja będę stawiał wiatraki, co zboże miela.

I odpowiadał tak zawsze, choć nad nim kiwano głowami, a jak czasem to i miotła.

Miał już dziesięć lat, kiedy pewnego razu, ośmioletnia wówczas siostra jego, Rozalia, strasznie zaniemogła. Jak się położyła, to się jej na drugi dzień dobudzić było trudno. Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy.

Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się; dała jej więc parę szturchańców. A gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napoiła wódką z piołunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa, przetrząsnawszy szmaty, jakie tylko były w skrzyni i w komorze, wybrała sześć groszy i wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę, jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale — i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

— Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu, jak się patrzy, i wygarnęła węgle, czekając dalszych rozkazów.

— No, teraz — rzekła znachorka — położyć dziewczę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec, na trzy Zdrowaśki. Oздrowieje wnet, jakhy kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce, (Antek patrzył na to z rogu izby) i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

— Matulu, co wy ze mną robicie? — zawołała.

— Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie.

Już ją wsunęły baby do połowy; dziewczyna poczęła się rzucać, jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękoma za szyję i wniebogłosy krzyczała:

— A dyć wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunięto, piec założono deską, i baby poczęły odmawiać trzy Zdrowaśki...

— Zdrowaś Panno Maryo, łaski pełna...

— Matulu! matulu moja!... — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!...

— Pan z tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...

Teraz Antek podbiegł do pieca i schwycił matkę za spódnicę.

— Matulu! — zawołał z płaczem — a dyć ją tam na śmierć zaboli!...

Ale tyle tylko zyskał, że dostał w łeb, ażeby nie przeskadzał odmawiać Zdrowasiek. Jakoś i chora przestała bić w deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy Zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup, ze skórą czerwoną, gdzieniegdzie oblażłą.

— Jezu! — krzyknęła matka, ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal po dziecku, że ledwie pomogła znachorce przeniesić zwłoki na tapczan. Potem uklękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

— Oj! Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!...

Znachorka była markotna.

— Et!... cichobyście lepiej byli. Wy może myślicie, że

dziewuszyśko od gorąca tak zczerwieniało? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy Boskiej...

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczucha — to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok umiera, a przecie zawsze ich pełno!

Na trzeci dzień włożono Rozalię w świeżo sheblowaną trumienkę, z czarnym krzyżem trumnę ustawiono w gnojownicach i powieszono dwoma wołami za wieś, tam gdzie nad zapadłymi mogiłami czuwają spróchniałe krzyże i białokore brzozy. Na nierównej drodze trumienka skrzywiła się trochę na bok, a Antek, trzymający się fałdów spodnicy matczynej, idąc za wozem, myślał:

— Musi tam być źle Rozalce, kiedy się tak poprawia i na bok przewraca!...

Potem — pokropił ksiądz trumnę święconą wodą, czterech parobków spuściło ją na szalach do grobu, przywaliło ziemią — i tyle wszystkiego.

Wzgórza z lasem szumiącym i te, na których krzaki rosły, zostały tam, gdzie były. Pastusi, jak dawniej, grali na fujarkach w dolinie, i życie szło, wciąż szło swoją koleją, choć we wsi nie stało jednej dziewczuchy.

Przez tydzień mówiono o niej, potem zapomniano i opuszczono świeży grób, na którym tylko wiatr wzdychał i świegotaty polne koniki.

A jeszcze potem spadł śnieg i nawet koniki wystraszył.

W zimie gospodarskie dzieci chodziły do szkoły. A że z Antka nie spodziewała się matka żadnej pomocy w gospodarstwie, raczej zawady, więc poradziwszy się kuma Andrzeja, postanowiła oddać chłopca na naukę.

— A czy mnie w szkole nauczą wiatraki budować? — pytał Antek.

— Oho! nauczą cię nawet w kancelaryi pisać, byleś ino był chętny.

Wzięła tedy wdowa czterdzieści groszy w wężefek, chłopca w garść i, ze strachem, poszła do nauczyciela. Wszedłszy do izby, zastała go, jak sobie łątał stawy kozuch. Pokłoniła mu się do nóg, doręczyła przyniesione pieniądze i rzekła:

— Kłaniam się też panu profesorowi i ślicznie proszę,

żeby mi wielmożny pan oto wisusa wziął do nauki, a ręki na niego nie żałował, jak rodzony ojciec...

Wielmożny pan, któremu słoma wyglądała z dziurawych butów, wziął Antka pod brodę, popatrzał mu w oczy i poklepał.

— Ładny chłopak — rzekł. — A co ty umiesz?

— Juźci prawda, że ładny, — pochwyciła zadowolona matka — ale musi że chyba nic nie umie.

— Jakże więc wy jesteście jego matką i nie wiecie co on umie i czego się nauczył? — spytał nauczyciel.

— A skądbym ja miała wiedzieć, co on umie? Przecie ja baba, to mi do tych rzeczy nic. A co uczył się on, niby mój Antek, to wiem, że uczył się bydło paść, drwa szczypać, wodę ze studni ciągnąć i chyba już nic więcej.

W taki sposób zainstalowano chłopca do szkoły. Ale że matce żal było wydanych czterdziestu groszy, więc dla uspokojenia się, zebrała pod domem kilku sąsiadów i radziła się ich, czy to dobrze, że Antek będzie chodził do szkoły i że taki wydatek na niego poniosła.

— Te! odezwał się jeden z gospodarzy — niby to nauczycielowi z gminy się płaci, więc na upartego moglibyście mu nic nie dawać. Ale zawsze on się upomina, a takich co nie płacą mu osobno, gorzej uczy.

— A dobry też z niego profesor?

— No! niczego!... On niby, jak z nim gadać, to taki jest trochę głupowaty, ale uczy — jak wypada. Mój przecie chłopak chodzi do niego dopiero trzeci rok i już zna całe abecadło z góry na dół i z dołu do góry.

— E! cóż to znaczy abecadło — odezwał się drugi gospodarz.

— Juźci że znaczy — rzekł pierwszy. -- Nibyście to nie słyszeli, co nieraz nasz wójt powiadają: Żebym ja choć umiał abecadło, tobym z takiej gminy miał dochodu więcej niż tysiąc rubli, tyle, co pisarz!

W parę dni potem, Antek poszedł pierwszy raz do szkoły. Wydała mu się taka prawie porządna, jak ta izba w karczynie, co w niej szynkwias stoi, a ławki były w niej jedna za drugą, jak w kościele. Tylko że piec pękł i drzwi się nie domykały, więc trochę ziębiło. Dzieci miały czerwone twarze i ręce trzymały w rękawach; nauczyciel chodził w kożuchu i baraniej czapce. A po kątach szkoły siedział biały mróz i wytrzeszczał na wszystko iskrzące ślepie.

Usadzono Antka między tymi, którzy nie znali jeszcze liter, i zaczęła się lekcya.

Antek, upominany przez matkę, ślubował sobie, że musi się odznaczyć.

Nauczyciel wziął kredę w skostniałe palce i na zdezelowanej tablicy napisał jakiś znak.

— Patrzcie dzieci—mówił — Tę literę spamiętać łatwo, bo wygląda tak, jakby kto kozaka tańczył, i czyta się A. Cicho tam osły!... Powtórzcie; a... a... a...

— A!... a!... a!... — zawołali chórem uczniowie pierwszego oddziału.

Nad ich piskiem górował głos Antka. Ale nauczyciel nie zauważył go jeszcze.

Chłopca trochę to ubodło; ambicya jego była podrażniona.

Nauczyciel wyrysował drugi znak.

— Tę literę — mówił — zapamiętać jeszcze łatwiej, bo wygląda jak precel. Widzieliście precel?

— Wojtek widział, ale my to chyba nie... — odezwał się jeden.

— No, to pamiętajcie sobie, że precel jest podobny do tej litery, która nazywa się B. Wołajcie: be! be!

Chór zawołał: be! be! — ale Antek tym razem rzeczywiście się odznaczył. Zwinął obie ręce w trąbkę i beknął, jak roczne ciele.

Śmiech wybuchnął w szkole, a nauczyciel aż zatrząsł się ze złości.

— He! — krzyknął do Antka. — Toś ty taki zuch? Ze szkoły robisz cielećnik? Dajcie go tu na rozgrzewkę!

Chłopiec ze zdziwienia aż osłupiał, ale nim się upamiętał, już go dwaj najsilniejsi ze szkoły chwycili pod ramiona, wyciągnęli na środek i położyli.

Jeszcze Antek niedobrze zrozumiał, o co chodzi, gdy nagle uczył kilka tęgich razów i usłyszał przestrogę:

— A nie becz, hultaju! a nie becz!

Puścili go. Chłopiec otrząsnął się, jak pies wydobyty z zimnej wody, i poszedł na miejsce.

Nauczyciel wyrysował trzecią i czwartą literę, dzieci nazywały je chórem, a potem nastąpił egzamin.

Pierwszy odpowiadał Antek.

— Jak się ta litera nazywa? — pytał nauczyciel.

— A! — odparł chłopiec.

— A ta druga?

Antek milczał.

— Ta druga nazywa się be. Powtórz, ośle.

Antek znowu milczał.

— Powtórz, ośle, be!

— Albo ja głupi! — mruknął chłopiec, dobrze pamiętając, że w szkole beczeć nie wolno.

— Co, hultaju jakiś, jesteś hardy? Na r o z g r z e w k ę go!..

I znowu ci sami co pierwszej koledzy pochwycili go, położyli, a nauczyciel udzielił mu taką samą samą liczbę pretów, ale już z upomnieniem:

— Nie bądź hardy! nie bądź hardy!...

W kwadrans później zaczęła się nauka oddziału wyższego, a niższy poszedł na rekreację, do kuchni profesora. Tam, jedni pod dyktando gospodyni skrobali kartofle, drudzy nosili wodę, inni pokarm dla krowy, — i na tem zajęciu upłynął im czas do południa.

Kiedy Antek wrócił do domu, matka zapytała go:

— A co? uczyłeś się?

— Uczyłem,

— A dostałeś?

— O! i jeszcze jak! Dwa razy.

— Za naukę?

Nie, ino na r o z g r z e w k ę.

— Bo widzisz, to początek. Dopiero później będziesz brał i za naukę! — pocieszyła go matka.

Antek zamyślił się frasobliwie.

— Ha, trudno — rzekł w duchu. — Bije, bo bije, ale przynajmniej pokaże, jak się wiatraki stawiają.

Od tej pory dzieci najniższego oddziału uczyły się wciąż czterech pierwszych liter, a potem szły do kuchni i na podwórze pomagać profesorskiej gospodyni. O wiatrakach mowy nie było.

Jednego dnia na dworze mróz był lżejszy, profesorowi także jakoś serce odtajało, więc chciał wytlómaczyć najmłodszym swoim wychowankom pożytek pisma.

— Patrzcie, dzieci! — mówił, pisząc na tablicy wyraz dom: — jaka to mądra rzecz pisanie! te trzy znaczki takie małe i tak niewiele miejsca zajmują, a jednak oznaczają — dom. Jak tylko na ten wyraz popatrzysz, to zaraz wi-

dzisz przed oczyma cały budynek, drzwi, okna, sieni, izby, piece, ławy, obrazy na ścianach, krótko mówiąc: widzisz dom, ze wszystkim, co się w nim znajduje.

Antek przecierał oczy, wychylał się, oglądał napisany na tablicy wyraz, ale domu żadnym sposobem zobaczyć nie mógł. Wreszcie tracił swego sąsiada i spytał:

— Widzisz ty tę chałupę, co o niej profesor gadają?

— Nie widzę — odparł sąsiad.

— Musi to chyba być łgarstwo! — zakonkludował Antek.

Ostatnie zdanie usłyszał nauczyciel i krzyknął;

— Jakie łgarstwo? Co łgarstwo?

— A to, że na tablicy jest dom. Przecie tam jest ino trochę kredy, ale domu nie widno — odparł naiwnie Antek.

Nauczyciel porwał go za ucho i wyciągnął na środek szkoły.

— Na rozgrzewkę go! — zawołał, i znowu powtórzyła się, z najdrobniejszymi szczegółami, dobrze już chłopakowi znana ceremonia.

Gdy Antek wrócił do domu czerwony, splakany i jakoś nie mogący znaleźć miejsca, matka znowu go zapytała:

— Dostałeś?

— A może matula myślą, że nie? — stęknął chłopiec,

— Za naukę?

— Nie za naukę, ino na rozgrzewkę!

Matka machnęła ręką.

— Ha! — rzekła po namyśle — musisz jeszcze poczekać, to ci tam kiedy dadzą i za naukę.

A potem, dokładając drew do ognia na kominie, mruzczała sama do siebie:

— Tak to zawsze wdowie i sierocie na tej ziemi doczesnej! Żeby mi profesorowi miała dać z pół rubla, a nie czterdzieści groszy, toby mi chłopca od razu wziął. A tak baraszkuje sobie z nim i tyle.

A Antek, słysząc to, myślał:

— No, no! jeżeli on tak baraszkuje ze mną, to co dopiero będzie, jak mnie uczyć zacząć!

Na szczęście, czy nieszczęście obawy chłopca nie miały się nigdy ziścić.

Jednego dnia, było to już we dwa miesiące po wstąpie-

niu Antka do szkoły, przyszedł do jego matki nauczyciel i po zwykłych przywitaniach zapytał:

— Jakże moja kobieto, będzie z waszym chłopakiem? Daliście za niego czterdzieści groszy, ale na początku, i już trzeci miesiąc idzie, a ja szeląga więcej nie widzę! To się tak przecie nie godzi; płacieć choć i po czterdzieści groszy, ale co miesiąc.

A wdowa na to:

— Skądże ja wezmę, kiedy nie mam! Co jaki grosz zarobię, to wszystko idzie do gminy. Nawet dzieckom szmaty niema za co kupić.

Nauczyciel wstał z ławy, nałożył czapkę w izbie i odparł:

— Jeżeli tak, to Antek nie ma po co chodzić do szkoły. Ja tam sobie nad nim darmo ręki zrywać nie będę. Taka nauka, jak moja, to nie dla biedaków.

Zabrał się i wyszedł, a wdowa, patrząc za nim, myślała:

— Juźci prawda. Jak świat światem, to ino pańskie dzieci chodziły do nauki. A gdzie zaś prosty człowiek mógłby na to wystarczyć!...

Zawołała znowu kuma Andrzeja na naradę, i poczęła oboje egzaminować chłopca.

— Cóż się ty wisusie nauczył przez te dwa miesiące? — pytał go Andrzej. — Przecie matka wydali na cię czterdzieści groszy...

— Jeszcze jak! — wtrąciła wdowa.

— Com się tam miał nauczyć! — odparł chłopiec. — Kartofle skrobią się tak w szkole, jak i w domu, świniom tak samo daje się jeść. Tyle tylko, że parę razy profesrowi buty wyczyścił. Ale za to porwali na mnie odzienie przy tych tam... rozgrzewkach...

— No, a z nauki toś nic nie połapał?

— Kto tam co połapie! — mówił Antek. — Jak nas uczy po chłopsku, — to łże. Napisze se na tablicy jakiś znak i mówi, że to dom z izbą, sienią, z obrazami. Człowiek przecie ma oczy i widzi, że to nie jest dom. A jak nas uczy po szkolnemu, to kat go zrozumie! Jest tam kilku starszych, co po szkolnemu pieśni śpiewają, ale młodszy to dobrze jak się trochę kładę nauczy...

— Ino kiedy spróbuj gadać tak paskudnie, to ja ci dam! — wtrąciła matka.

— No, a do gospodarstwa nigdy, chłopaku, nie nabierzesz ochoty? — spytał Andrzej.

Antek pocałował go w rękę i rzekł:

— Poślijcie mnie już tam, gdzie uczą budować wiatraki. Starzy, jak na komendę, wzruszyli ramionami.

Nieszczęsny wiatrak, po drugiej stronie Wisły mielący zboże, tak ugrzązł w duszy chłopca, że go już stamtąd żadna siła wydobyć nie mogła.

Po długiej naradzie postanowiono czekać i czekano.

Uptywał tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nareszcie chłopak doszedł do dwunastu lat, ale w gospodarstwie wciąż niewielkie oddawał usługi. Strugał swoje patyki, a nawet rzeźbił cudackie figury. I dopiero, gdy mu się kozik zepsuł, a matka na nowy nie dawała pieniędzy, wynajmował się do roboty. Jednemu nocą konie na łące pilnował, zatopiony w siwej mgłę wieczornej i zapatrzony na gwiazdy; innemu woły prowadził przy orce; czasem poszedł do lasu po jagody lub grzyby i sprzedawał szynkarzowi Mordce za kilka groszy cały kosz.

W chacie im się nie wiodło. Gospodarstwo bez chłopca, to jak ciało bez duszy; a wiadomo, że ojciec Antka już od kilku lat wypoczywał na tem wzgórzu, gdzie przez żywopłot, czerwonymi jagodami okryty, spoglądał na wioskę smutne krzyże.

Wdowa do obrządzenia roli najmowała parobka, resztę pieniędzy musiała odnosić do gminy, a dopiero za to, co zostało, karmić siebie i chłopców.

Jadali też codzień barszcz z chleba i kartofle, czasem kaszę i kluski, rzadziej groch, a mięso: — chyba tylko na Wielkanoc. Niekiedy i tego w chacie nie stało, a wówczas wdowa, nie potrzebując pilnować komina, latała synom sukmanki. Mały Wojtek płakał, a Antek z nudów, w porze obiadowej łapał muchy i po takiej uczcie znowu szedł na dwór do strugania swoich drabin, płotów, wiatraków i Świętych. Bo także wystrugiwał i Świętych, co prawda, na początek bez twarzy i rąk.

Nareszcie, kum Andrzej, wierny przyjaciel osieroczonej rodziny, wyrobił Antkowi miejsce u kowala, w drugiej wsi. Jednej niedzieli poszli tam z wdową i chłopcem. Kował przyjął ich niezgorzej. Wypróbował chłopca w rękę i krzyżu, a

widząc, że na swój wiek jest wcale mocny, przyjął go do terminu, bez zapłaty, i tylko na sześć lat.

Straszno i smutno było chłopcu patrzeć, jak płacząca matka i stary Andzej pożegnawszy jego i kowala, skryli się już za sadami, idąc z powrotem do domu. Było mu jeszcze smutniej, kiedy spał pierwszą noc pod cudzym dachem, w stodółce między nieznanymi sobie chłopakami kowala, którzy zjedli jego kolację i jeszcze dali mu do snu parę kulaków, na zadatek dobrej przyjaźni.

Ale kiedy na drugi dzień, równo ze świtem poszli gromadą do kuźni, gdy rozniecili ognisko, Antek począł dąć pękатыm miechem, a inni śpiewając z majstrem: „Kiedy ranne wstają zorze!“ poczęli kuć młotami rozpalone żelazo, — w chłopcu zbudził się jakby nowy duch. Dźwięk metalu, rytmiczny huk, pieśń, której aż las odpowiadał echem — wszystko to upoiło chłopca... Zdaje się, że w sercu jego aniołowie niebiescy naciągnęli kilka strun, nieznanym innym chłopskiemu dzieciom, i że struny te odezwały się dopiero dziś, przy sapaniu miecha, tętnieniu młotów i przyskających z żelaza iskrach.

Ach! jakiby z niego był dziarski kowal, a może i co więcej... Bo chłopak, choć nowa robota podobała mu się okrutnie, wciąż myślał o swoich wiatrakach.

Kowal, dzisiejszy opiekun Antka, był człowiek nijaki. Kuć żelazo i piłował je ani źle, ani dobrze. Czasami walił chłopców aż puchli, a najczęściej dbał o to, ażeby się zbyt prędko nie wyuczili kunsztu. Bo taki młodziak, wyszedłszy z terminu, mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty!...

A trzeba wiedzieć, że majster miał jeszcze jeden obyczaj.

Na drugim końcu wsi mieszkał wielki przyjaciel kowala — sołtys, który w zwykłe dni prawie nie odchodził od pracy, ale gdy mu co kapnęło z urzędu, rzucał gospodarstwo i szedł do karczmy mimo kuźni. Bywało tego raz, albo i dwa razy na tydzień.

Idzie sobie tedy sołtys, z zapracowanym na urządzie groszem, pod sosnową wiechę i niechący zbacza do kuźni

— Pochwalony! — woła do kowala, stojąc za progiem.

— Pochwalony! — odpowiada kowal. — A jak tam w polu?

— Niczego — mówi sołtys. A jak u was, w kuźni?

— Niczego — mówi kowal. — Chwała Bogu, żeście choć aby raz wyleźli z chałupy.

— A tak — odpowiada sołtys. — Takem ci się zgadał w kancelaryi, że muszę choć odrobinę zęby popłókać. Może pójdziecie i wy od tego kurzu?

— Ma się rozumieć, że pójdę, przecie zdrowie jest najpierwsze — odpowiedział kowal, i nie zdejmując fartucha, szedł razem z sołtysem do karczmy.

A kiedy już raz wyszedł, mogli chłopcy na pewno gasić ognisko. Żeby robota była najpilniejsza, żeby się walił świat, ani majster, ani sołtys przed wieczorem nie wyszli z karczmy, chyba, że sołtysowi narzuciła się jaka urzędowa czynność.

Dopiero późno w nocy wracali do domu.

Zwykle sołtys wiódł kowala pod rękę, a ten dźwigał butelkę „płókania“ na jutro. Na drugi dzień sołtys był zupełnie trzeźwy i gospodarował aż do nowego zarobku na urzędzie, ale kowal wciąż zaglądał do przyniesionej butelki, dopóki się dno nie pokazało i tym sposobem od jednego zamachu wypoczywał przez dwa dni.

Już półtora roku nadymał Antek miechy w kuźni, nie robiąc zdaje się nic więcej, i półtora roku majster z sołtysem regularnie płókałi zęby pod sosnową wiechą. Aż raz zdarzył się wypadek.

Kiedy sołtys z kowalem siedzieli w karczmie, nagle po pierwszym półkwatku dano znać, że ktoś tam powiesił się — i gwałtem wyciągnięto sołtysa z za stołu. Kowal nie mając odpowiedniego towarzystwa, musiał zaprzestać płókania, ale kupił niezbędną butelkę i powoli wracał z nią ku domowi.

Tymczasem do kuźni przyszedł chłop z koniem do okucia.

Ujrzawszy go, terminatorowie zawołali:

— Niema majstra, dziś robi z sołtysem płókanie!

— A z was to żaden nie potrafi szkapy okuć? — spytał markotnie gospodarz.

— Kto tam potrafi! — odparł najstarszy terminator.

— Ja wam okuję! — odezwał się nagle Antek.

Tonący chwytając się brzytwy, więc i chłop zgodził się na propozycję Antka, choć nie wiele mu ufał, a jeszcze inni terminatorowie wyśmiewali go i wymyślali.

— Widzisz go, nedorostka! — mówił najstarszy. —

Jak żyje, nie trzymał młota w garści, tylko dymał i węgli dokładał, a dziś porywa się na kucie koni!...

Widać jednak, że Antek miewał młot w garści, bo zawiąwszy się, w niedługim nawet czasie odkuł kilka gwoździ i podkowę. Wprawdzie podkowa była za wielka i niezbyt foremna, ale swoją drogą terminatorowie pootwierali gęby.

Właśnie przyszedł na tę chwilę i majster. Opowiedziano mu, co się stało, pokazano podkowę i gwoździe.

Kowal obejrzał i aż przetaił krwią nabiegłe oczy.

— A ty gdzieś się tego nauczyłeś, złodzieju? — zapytał Antka.

— A w kuźni — odparł chłopiec, zadowolony z komplementu. — Jak pan majster poszedł na płókanie, a oni rozbiegli się, to ja wykuwałem różne rzeczy z ołowiu, albo i z żelaza.

Majster tak był zmieszany, że nawet zapomniał zbić Antka za psucie materyałów i narzędzi. Aż poszedł na radę do żony, skutkiem czego chłopca wydano z kuźni i przeznaczono do gospodarstwa.

— Za mądryś ty, kochanku! — mówił mu kowal. — Nauczyłeś się fachu we trzy lata, a późniejbyś uciekł. A przecież matka oddała mi cię na sześć lat — do służby.

Pół roku jeszcze był Antek u kowala. Kopał w ogrodzie, peł, rąbał drzewo, kołysał dzieci, ale już nie przestąpił progu kuźni. Pod tym względem wszyscy go rzetelnie pilnowali: majster i majstrowa i chłopcy. Nawet własna matka Antkowa i kum Andrzej, choć wiedzieli o dekreście kowalskim, nie przeciw niemu nie mówili. Według umowy i obyczaju chłopiec dopiero po sześciu latach miał prawo jako tako fuszerować kowalstwo. A że był dziwnie bystry i nie uczony przez nikogo, nauczył się kowalstwa sam, w ciągu roku, więc tem gorzej dla niego!

Swoją drogą Antkowi uprzykrzył się taki tryb życia.

— Mam ja tu kopać i drwa rąbać, więc wolę to samo robić u matki!

Tak sobie myślał przez tydzień, przez miesiąc. Wahał się. Ale wkońcu — uciekł od kowala i wrócił do domu.

Te jednak dwa lata wyszły mu na dobre. Chłopak wyrósł, zmężniał, poznał trochę więcej ludzi, aniżeli w swojej dolinie, a nadewszystko poznał więcej rzemieślniczych narzędzi.

Teraz siedząc w domu, pomagał czasem przy gospodarstwie, ale przeważnie robił swoje maszyny i rzeźbił figury. Tylko już prócz kozika miał dłutko, pilnik i świderek i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów począł nawet kupować Mordko, szynkarz. Na co?... Antek o tem nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzeźbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niezgorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tembardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocnej ręki.

Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?...

Tymczasem chłopiec podrastał, a dziewczuchy i kobiety wiejskie coraz milej na niego spoglądały i coraz częściej mówiły między sobą:

— Ładny bestya, bo ładny!

Rzeczywiście Antek był ładny. Był dobrze zbudowany, w sobie zręczny i prosto się trzymał, nie tak jak chłopci, którym ramiona zwieszają się, a nogi ledwie posuwają się od ciężkiej pracy. Twarz także miał nie taką, jak inni, ale rysy bardzo regularne, cerę świeżą, wyraz rozumny. Miał też jasne kędzierzawe włosy, ciemnawe brwi i ciemno-szafirowe oczy, marzące.

Mężczyźni dziwili się jego sile i sarkali na to, że próżnował. Ale kobiety wołały mu patrzeć w oczy.

— Jak on bestya spoglądnie na człowieka — mówiła jedna z bab — to aż cię mrowie przechodzi. Taki jeszcze młodziak, a już patrzy na cię, jak dorosły szlachcic!...

— Bo to prawda! — zaprzeczyła druga. — On patrzy zwyczajnie jak niedorostek, ino ma taką słodkość w ślapiach, że aż cię rozbiera. Ja się na tem znam!...

— Chyba ja się lepiej znam — odparła pierwsza. — Przecież służyła we dworze...

A gdy się kobiety spierały tak o patrzeć Antowe, on tymczasem na nie nie patrzył wcale. U niego więcej jeszcze znaczył dobry pilnik, aniżeli najładniejsza kobieta.

W tym czasie wójt, stary wdowiec, który już córkę z pierwszego małżeństwa wydał za mąż i miał jeszcze w domu kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, ożenił się

trzeci raz. A jako zwykle łąsi miewają szczęście, więc wynalazł sobie za Wisłą żonkę młodą, piękną i bogatą.

Kiedy para ta stanęła przed ołtarzem, ludzie poczęli się śmiać, a i sam ksiądz trochę pokiwał głową, że tak nie pasowali do siebie.

Wójt trząsł się jak dziad, który ze szpitala wyjdzie, i dlatego tylko był mało siwy, że miał głowę łąsą, jak dynia. Wójtowa była jak iskra. Czysta Cyganka, z wiśniowemi ustami, nieco odechylonemi, i z oczyma czarnemi, w których niby ogień paliła się jej młodość.

Po weselu, dom wójta zwykle cichy, bardzo się ożywił, bo raz wraz przybywali goście. To strażnik, który częstsze miewał niż zwykle interesa do gminy; to pisarz, który, znać, nie dosyć nacieszywszy się wójtem w kancelaryi, jeszcze go w domu odwiedzał; to znów strzelcy rządowi, których dotychczas we wsi niebardzo kiedy widywano. Nawet sam profesor, odebrawszy miesięczną pensję, cisnął w kąt stary kożuch i ubrał się — jak magnat, tak, że niejeden wiejski człowiek począł go tytułować: wielmożnym dziedzicem.

I wszyscy owi strażnicy, strzelcy, pisarze i nauczyciele ciągnęli do wójtowej, jak szczury do młyna. Ledwie jeden wszedł do izby, już drugi wystawał za płotem, trzeci sunął z końca wsi, a czwarty kręcił się koło wójta. Jejmość rada była wszystkim, śmiała się, karmiła, poila gości. Ale też czasem wytargala którego za włosy, a nawet i wybiła, bo humor u niej łatwo się zmieniał.

Nareszcie, po półrocznem weselu, zaczęło być trochę spokojniej. Jedni goście znudzili się, drugich wójtowa przepędziła, i tylko podstarzały profesor, sam lichy jedząc i morząc głodem swoją gospodynię, za każdą pensję miesięczną kupował sobie jakiś figlas do ubrania i siadywał u wójtowej na progu, (bo go z izby wyganiano), albo kłął i wzdychał pomiędzy opłotkami.

Jednej niedzieli poszedł Antek na sumę, jak zwykle z matką i bratem. W kościele było już ciasno, ale dla nich znalazło się jeszcze nieco miejsca. Matka uklęka między kobietami na prawo, Antek z Wojtkiem między chłopami na lewo, i każdy modlił się, jak umiał. Naprzód do świętego w wielkim ołtarzu, potem do świętego, co stoi wyżej nad tamtym, potem do świętych w ołtarzach bocznych. Modlił się za ojca, którego przytłukło drzewo, i za siostrę, której

za prędko choroba w piecu wyszła, i za to, ażeby Pan Bóg miłosierny i jego Święci ze wszystkich ołtarzów dali mu szczęście w życiu, jeżeli taka będzie ich wola.

Wtem, gdy Antek już czwarty raz z kolei powtarza swoje pacierze, uczuł nagle, że ktoś udeptał go w nogę i ciężko oparł mu się na ramieniu. Podniósł głowę. Przeciskając się pomiędzy ciżbą ludu, stała nad nim wójtowa, na twarzy smagła, zaczerwieniona, zadyszana z pośpiechu. Ubierała się jak chłopka, a z pod chustki, spadającej z ramion widać było koszulę z cieniutkiego płótna i sznury paciorków z bursztynów i koralu.

I popatrzeni sobie w oczy. Ona wciąż nie zdejmowała mu ręki z ramion, a on... klęczał, patrzył na nią jak na cudowne zjawisko, nie śmiejąc ruszyć się, aby mu nagle nie znikła.

Miedzy ludzi poczęto szeptać.

— Usunie się, kumie, pani wójtowa idą...

Kumowie usunęli się, i wójtowa poszła dalej, aż przed wielki ołtarz. W drodze niby potknęła się i znowu spojrzała na Antka, a chłopca aż gorąco oblało od jej oczu. Potem usiadła na ławce i modliła się z książki, czasami podnosząc głowę i spoglądając na kościół. A kiedy na Podniesienie zrobiło się cicho, jakby makiem zasiał, i pobożni upadli na twarze, ona złożyła książkę i znowu zwróciła się do Antka, topiąc w nim ogniste żrenice. Na jej cygańską twarz i sznur paciorków spłynął z okna snop światła, i wydała się chłopcu jako święta, wobec której ludzie milkną i rzucają się w proch.

Po sumie, ludzie tłumem poszli do domów. Wójtową otoczyli pisarz, nauczyciel i gorzelnik z trzeciej wsi, i już Antek nie mógł jej zobaczyć.

W chacie postawiła matka chłopakom dostały krupnik, zabelony mlekiem, i wielkie pierogi z kaszą. Ale Antek choć lubił to, jadł ledwie jednym zębem. Potem zabrał się, poleciał w góry i położywszy się na najwyższym szczycie, patrzył stamtąd na wójtową chatę. Ale widział tylko słomiany dach i mały niebieski dymek, wydobywający się powoli z obielonego komina. Więc zrobiło mu się tak czegoś tęskno, że schował twarz w starą suknaną i zapłakał.

Pierwszy raz w życiu uczuł wielką swoją nędzę. Chata ich była najuboższą we wsi, a pole najgorsze. Matka, choć przecie gospodyni, pracować musiała jak komornica i odzie-

wała się prawie w łachmany. Na niego patrzano we wsi, jak na straceńca, który niewiadomo poco innym chleb zjada. A co go się nie nabili, co go się nawet psy nie nagryzły!..

Jakże daleko było mu do profesora, gorzelnika, a choćby i do pisarza, którzy, ile razy chcieli, mogli wejść do wójtowskiej chaty i gadać z wójtową! Jemu zaś nie o wiele chodziło. Pragnął tylko, żeby jeszcze choć raz jeden, jedyny i ostatni raz w życiu, oparła mu kiedy wójtowa na ramieniu rękę i spojrzała w oczy tak, jak w kościele. Bo w jej spojrzeniu mignęło mu coś dziwnego, coś, jak błyskawica, przy której na krótką chwilę odsłaniają się niebieskie głębokości, pełne tajemnic. Gdyby je kto dobrze obejrzał, wiedziałby wszystko, co jest na tym świecie, i byłby bogaty, jak król.

Antek w kościele nie przypatrzył się dobrze temu, co mignęło w oczach wójtowej. Był nieprzygotowany, olśniony i szczęśliwą sposobność stracił. Ale gdyby ona tak jeszcze kiedy na niego chciała spojrzeć!..

Marzyło mu się, że zobaczył przelatujące szczęście i strasznie do niego zateśknął. Zbudziło się drżące serce i wśród boleści poczęło się — jakby przeciągać. Teraz świat wydał mu się całkiem odmienny. Dolina była za szczupła, góry za niskie, a niebo — bodaj czy się nie opuściło, bo zamiast porywać ku sobie, zaczęło go przygniatać. Chłopiec zeszedł z góry pijany, nie wiedząc jakim sposobem znalazł się nad brzegiem Wisły i, patrząc w rzeczne wiry, czuł, że go coś pociąga ku nim.

Miłość, której nawet nazwać nie umiał, spadła nań jak burza, rozniecając w duszy strach, żal, zdziwienie i — albo on wiedział co jeszcze?

Odtąd co niedziela chodził do kościoła na sumę i ze drżeniem serca czekał na wójtową, myśląc, że jak wtedy położy mu rękę na ramieniu i spojrzy w oczy. Ale wypadki nie powtarzają się, a zresztą uwagę wójtowej pochłaniał teraz gorzelnik, chłop młody, który aż z trzeciej wsi przyjeżdżał... na nabożeństwo.

Wówczas Antek wpadł na osobliwy pomysł. Postanowił zrobić piękny krzyżyk i ofiarować wójtowej. Wtedy ona chyba spojrzy na niego i może uleczy z tej tęsknicy, która mu wypijała życie.

Za ich wsią, na rozstajnych drogach, znajdował się dziwny krzyż. Od podstawy owijały go powoje. Nieco wyżej

była drabinka, włócznia i cierniowa korona, a u szczytu, przy lewem ramieniu, wisiała jedna ręka Chrystusa, bo resztę figury ktoś ukradł pewnie na czary. Ten to krzyż wziął Antek za model.

Strugał więc, przerabiał i nanowo zaczynał swój krzyż, starając się, ażeby był piękny i wójtowej godny.

Tymczasem na wieś spadło nieszczęście. Wisła wylała, przerwała tamę i zniszczyła przybrzeżne pola. Ludzie wiele stracili, ale najwięcej Antkowa matka. W chacie jej pokazał się nawet głód. Trzeba było iść na zarobek; chodziła więc i sama nieboga, i Wojtusia oddała na pastucha. Ale wszystko to nie wystarczało. Antek, nie chcący jąć się pracy gospodarskiej, był dla niej prawdziwym ciężarem.

Widząc to, stary Andrzej począł nalegać na chłopca, ażeby poszedł w świat.

— Jesteś przecie chłopak bystry, silny, zręczny do rzeźmiostła, więc udaj się między miejskich ludzi. Tam nauczysz się czego i jeszcze matce będziesz pomocny, a tu ostatni kęs chleba odejmujesz jej od gęby.

Antek aż pobladł na myśl, że przyjdzie mu opuścić wieś, bez zobaczenia się choć raz z wójtową. Rozumiał jednak że inaczej być nie może, i tylko prosił, żeby mu zostawiono kilka dni.

Przez ten czas z podwojoną gorliwością rzeźbił swój krzyżyk i wyrzeźbił bardzo ładny, z powojem u dołu z narzędziami męki i z ręką Pańską przy lewem ramieniu. Ale gdy skończył robotę żadną miarą nie miał odwagi pójść do wójtowskiego mieszkania i swój dar ofiarować wójtowej.

Przez ten czas matka polatała mu odzienie, pożyczyła od Mordki rubla na drogę, wystarała się o chleb i ser do kobiątki, wypłakała się. Ale Antek wciąż marudził, z dnia na dzień odwlekając swoje wyjście.

Zniecierpliwiło to Andrzeja, który jednej soboty wywołał chłopca z chaty i rzekł mu surowo:

— No, a kiedyż ty, chłopaku, opamiętasz się? Czy cheesz, żeby przez ciebie matka z głodu i z pracy zmarła? Przecie ona swojemi staremi rękoma nie wykarmi siebie i takiego jak ty draba, co próżnuje po całych dniach!...

Antek schylił mu się do nóg.

— Poszedłbym już, Andrzeju, ale kiedy mi strasznie żal porzucić swoich!

Nie powiedział jednak, kogo mu żal najwięcej.

— Oho! — zawołał Andrzej. — A cóżes ty dziecko przy piersi, że nie możesz się obejść bez matki? Dobry z ciebie chłopak, ani słowa, ale masz w sobie takiego niechcieja, co by cię tu do siwych włosów trzymał matce na karku. Dlatego ja ci powiem: jutro święta niedziela, wszyscy będziemy wolni i odprowadzimy cię. Więc po nabożeństwie zjesz obiad i pójdziesz. Dłużej tu z założonemi rękoma niema co siedzieć. Ty najlepiej wiesz, że mówię prawdę.

Antek, upokorzony, wrócił do chaty i powiedział, że jutro pójdzie w świat szukać roboty i nauki. Biedna kobieta połykając łzy, poczęła szykować go do drogi. Dała mu starą kobiałkę, jedyną w chacie, i torbę parcianą. W kobiałkę włożyła trochę jadal, a w torbę pilniki, młotek, dłótka i inne narzędzia, któremi Antek od tylu lat wyrabiał swoje zabawki.

Nadeszła noc. Antek leżał na twardej ławie, ale zasnąć nie mógł. Uniósł głowę, patrzył na dogasające w kominie węgle, słuchał dalekiego szczekania psów, albo świerkania świerszcza w chacie, który nad nim tak wołał, jak wołają polne koniki nad opuszczonym grobem małej jego siostry, Rozalii.

Wtem usłyszał jakiś szmer w rogu izby. To bezsenna matka jego pocichu szlochała...

Antek ukrył głowę pod sukmanę.

Słońce było wysoko, kiedy się obudził. Matka już wstała i drżącemi rękoma ustawiała garnuszki przy ogniu.

Potem wszyscy razem usiedli za stół, do śniadania i trochę podjadłszy, poszli do kościoła.

Antek miał na piersiach pod sukmaną swój krzyżyk. Co chwila przyciskał go, oglądając się niespokojnie, czy gdzie wójtowej nie widać, i myśląc z trwogą, jak też on swój dar doręczy?

W kościele nie było wójtowej. Chłopak, klęcząc na środku, machinalnie odmawiał modlitwy, ale co mówił?... nie rozumiał. Gra organów, śpiew ludu, dźwięk dzwonków i własne cierpienie w duszy jego zlały się w jedną wielką zawie-ruchę. Zdawało mu się, że cały świat drży w posadach w tej chwili, kiedy on ma opuścić tę wieś, ten kościół i wszystkich, których ukochał.

Ale na świecie było spokojnie, tylko w nim tak kipiał żal.

Nagle organy ucichły, a ludzie pochylili głowy. Antek

ocknął się, spojrział. Jak wówczas, tak i dziś było Podniesienie, i jak wówczas, w ławce przy wielkim ołtarzu siedziała wójtowa.

Wtedy chłopiec ruszył ze swego miejsca między ciżbą ludu, zacząłgał się na kolanach aż do owej ławki i znalazł się u nóg wójtowej. Sięgnął za pazuchę i wydobył krzyżyk. Ale odbiegła go wszelka śmiałość, a głos mu zamarł tak, że jednego wyrazu nie mógł przemówić. Więc, zamiast oddać krzyżyk tej, dla której rzeźbił go przez parę miesięcy, wziął i zawiesił swoją pracę na gwoździu, wbitym w ścianę obok ławki. W tej chwili ofiarował Bogu drewniany krzyżyk, a razem z nim swoją tajemną miłość i niepewną przyszłość.

Wójtowa zauważyła szmer i spojrzała na chłopca ciekawie, tak samo, jak wtedy. Ale on nie nie widział, bo mu się oczy zasłoniły łzami.

Po sumie, matka z dziećmi wróciła do chaty. Ledwie zjedli kartoflanekę i trochę klusków, ukazał się w izbie kum Andrzej i po przywitaniu rzekł:

— No, chłopcze! zabieraj się! Komu w drogę, temu czas.

Antek podpasał sukmanę rzemykiem, przewiesił torbę z narzędziami przez jedno ramię, a kobiałkę przez drugie. Gdy już wszyscy gotowi byli do drogi, chłopiec ukląkł, przeżegnał się i ucałował klepisko chaty, jak podłogę kościelną. Potem matka wzięła go za jedną rękę, brat Wojtuś za drugą i jak pana młodego do ślubu, wiedli go oboje najukochańsi na próg świata.

Stary Andrzej włókł się za nimi.

— Masz tu rubla, Antku — mówiła matka, wciskając chłopcu w rękę gałganek, pełen miedzianych pieniędzy. — Nie kupuj za to dziecko statków do krajania, ino schowaj se ten grosz na złe czasy, kiedy ci się jeść zachce. A jeżeli kiedy zarobisz jaki pieniądz, to daj go na mszę świętą, ażeby ci Bóg błogosławił.

I szli tak wolno, wawozem pod górę, aż im wieś z oczu znikła; tylko z karczmy dolatywało ciche granie skrzypców i dudnienie bębna z dzwonekami. Wreszcie i to ucichło; znaleźli się na wyżynie.

— No, wróćwa się już! — rzekł Andrzej. — A ty, chłopaku, idź wciąż drogą i pytaj się o miasto. Bo tobie nie na wsi mieszkać, ino w mieście, gdzie ludzie chętniejsi są do młota, niż do roli.

Wdowa nato odezwała się z płaczem:

— Kumie Andrzeju, odprowadźmy go choć do figury świętej, gdzieby pobłogosławić go można.

A potem biadała:

— Czy kto kiedy słyszał, żeby rodzona matka dziecko swoje wiodła na stracenie? Wychodzili, prawda, od nas chłopacy do wojska, ale to był mus. Nigdy przecie nie widziano, żeby kto z własnej woli opuszczał wieś, gdzie się urodził i gdzie go przyjąć powinna święta ziemia! Oj! doloż ty moja, dolo! że też ja już trzecią osobę z chaty wyprowadzam, a sama jeszcze żyję na świecie!... A schowałeś, synusiu, pieniądze?

— Schowałem, matulu.

Doszli i do figury i poczęli się żegnać.

— Kumie Andrzeju, — mówiła wdowa, łkając — wyście tyle świata widzieli, wyście z bractwa, pobłogosławcież tego sierotę... a dobrze, żeby się nim Pan Bóg opiekował.

Andrzej popatrzał w ziemię, przypomniał sobie modlitwę za podróżnych, zdjął czapkę, położył ją pod figurą. Potem wzniosł ręce ku niebu, a gdy wdowa i obaj jej synowie ukłękli, począł mówić:

— O Boże święty, Ojcie nasz, któryś naród swój wyprowadził z ziemi Egipskiej, z domu niewoli, który każdemu stworzeniu, co się rucha, dajesz pokarm, który ptaki powietrzne do ich starodawnych gniazd powracasz, Ciebie prosimy, bądź miłościw temu podróżnemu, ubogiemu i strapionemu! Opiekuj się nad nim, Boże nasz święty, w złych przygodach pocieszaj, w chorobie uzdrów, w głodzie nakarm i w nieszczęściu ratuj. Bądź mu, Panie, miłościw, pośród obcych, jakoś był Tobiaszowi i Józefowi. Bądź mu Ojcem i Matką. Za przewodników daj mu aniołów Swoich, a gdy spełni co sobie zamierzył — do naszej wsi i do jego domu szczęśliwie go powróć!

Tak się modlił chłop, w świątyni, gdzie polne zioła pachnęły, śpiewały ptaki, gdzie pod nimi błyszcziała w ogromnych skrętach Wisła, a nad nimi stary krzyż szeroko otwierał ramiona.

Antek upadł do nóg matce, potem Andrzejowi, ucałował brata i — poszedł drogą.

Ledwie uszedł kilkadziesiąt kroków, aż wdowa zawołała za nim:

— Antku!...

— Co, matulu?...

— A jak ci tam będzie źle u obcych, wracaj do nas...
Niech cię Bóg błogosławi!...

— Zostańcie z Bogiem! — odparł chłopak.

Znowu uszedł kawałek drogi, i znowu zawołała za nim smutna matka:

— Antku!... Antku!...

— Co matulu? — spytał chłopiec.

Głos jego już słabiej dolatywał.

— A nie zapomnij o nas, synusiu! Niech cię Bóg błogosławi!

— Zostańcie z Bogiem!

I szedł, szedł, szedł, jak ów chłopak, co wybrał się po cyrograf, wystawiony na własną duszę. Wreszcie za wzgórkiem znikł. Na polu rozlegał się jęk zbolalej matki.

Ku wieczorowi niebo zaciągnęło się chmurami, i spadł drobny deszcz. Ale że chmury nie były gęste, więc prze-darły się przez nie blaski zachodzącego słońca. Zdawało się, że nad szarem polem i nad grzązką gliniastą drogą unosi się złote sklepienie, powleczone żałobną krepą.

Po tem polu szarem i cichem, bez drzew, po drodze grząskiej posuwał się zwolna strudzony chłopiec, w siwej sukmance, z kobiątką i torbą na plecach.

Zdawało się, że wśród głębokiego milczenia krople deszczu nucą tęskną melodyę znanej pieśni:

Przez dolinę, przez pole,

Idzie sobie pacholę,

Idzie sobie i śpiewa,

Wiatr mu z deszczem przygrywa!

Może spotkacie kiedy wiejskiego chłopca, który szuka zarobku i takiej nauki, jakiej między swoimi nie mógł znaleźć. W jego oczach zobaczycie jakby odbłask nieba, które prze-głąda się w powierzchni spokojnych wód; w jego myślach poznacie naiwną prostotę, a w sercu tajemną i prawie nie-swiadomą miłość.

Wówczas podajcie rękę pomocy temu dziecku. Będzie to nasz mały brat, Antek, któremu w rodzinnej wsi stało się już za ciasno, więc wyszedł w świat, oddając się w opiekę Bogu i dobrym ludziom.



S E N.

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student. Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie, na Pradze, u maszynisty kolei Terespolskiej, i jedną na Podwalu, u sklepikarza, za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Pivnej, na czwartem piętrze, za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak fili-granowe, że ledwie można je było uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Toricellego. Nie było w nich nic, tak dalece, że wkońcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury, aż do środka ziemi głębokie.

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęsłe piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

— Gdybym był Panem Bogiem. inaczejbym świat urządził — mówił niekiedy. — Wynalazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym codzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

— Dałbym sto dukatów temu, ktoby mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z temi gorączkami, z tem płuciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza...

Jakbym ja pysznie leczył!... Każdemu pacyentowi jedna recepta: mieszkanie suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyi można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przytem, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcję na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz!... oddał wyjeżdżającemu koledzy trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla załug stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł, drapiąc się w głowę:

— Bo, proszę pana, tam się już wprowadzili na czwarte piętro...

— Któż?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... — zawołał student, sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

— Gospodarz powiedział, — mówił stróż — że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie wynajął dekarzowi. Bieda tam, panie — dodał: żona troje dzieci... i już dzisiaj pożyczili odemnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to mówił dekarz, że pewnie przysłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

— Ha, jeżeli tak, — rzekł — to mogę ustąpić. Ale gdyby tu się sprowadzili Bloch, albo Kronenberg, pokazałbym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania!

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę, nie pytając nawet o swoje rzeczy, — co było godnem prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki, że po całodziennym poście wartoby coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa, dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął jako smakosz, dwie suche kiełbaski, a jako człowiek praktyczny — kawał razowego chłaba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posadzała go tylko

o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty, nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem, i sanki napelnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem, na rogu chodnika, porwała go za rękę jakaś stara kobieta, ubrana w stos łachmanów, i na cały głos poczęła krzyczeć:

— Panie!... panie!... jacy my biedni!...

„Oczywiście poczuła zapach suszonej kielbasy (te głodomory mają pyszny węch)“ — pomyślał medyk i ażeby uniknąć kompromitacyi dał babie ostatnią dziesiątkę.

— Niechaj Bóg da ci szczęście... — zawołała osoba w łachmanach, która nigdyś snadź była wielką damą.

Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyi, dowodzących subtelного uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć, jak goły z ukropu.

Kompromitująca baba! — myślał. — Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynowstwo.“

Swoją drogą na tle dźwięczenia dzwonek, stukania sianek o bruk uliczny i turkotu dorózek, zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo, wypowiedziane równie wykwinnym, jak i zakatarzonym głosem:

— Niechaj Bóg da ci szczęście!...

„Szczęście...?“ — myślał, idąc chodnikiem, na którym potracali go przechodnie. — „Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałybym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym. No wieczonek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc butek. A poncez, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, Burgund od Malinaka, cytryny były, zdaje się prawdziwe... Piłem i jadłem, jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracyi, gdzie obiady wydają tylko na porcyę... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście; choć po tym poncezu już na drugim piętze tak mnie zebrało... Poncezowe uniesienia, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracyi, nie są prawdziwym szczęściem. Czegoż bo

tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc co to jest szczęście?”

Przed dwunastu laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zamarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nieznana dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tem, jak go paliły uszy, o tem, że dreszcze zostały gdzieś na dworze — i wydał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam, ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył!

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale dziwna rzecz: żadnej z tych przywacyi nie oddałby za wieczorek z ponczem i pannami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczem nie podobna było zastąpić.

„Więc to ma być szczęście?... — myślał. Zabawna historia!...”

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęzmi drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i owdzie zapalane w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów, biegących ku bramom, jakby ich gonila noc i zimno. Po śniegu figlowało kilka psów; a jeden, oznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem, przypatrywał się im zdala, wykonywując zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam zmarzył dyabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kiełbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

— Trzeba przyznać, — myślał, czując błogie skutki

tych ćwiczeń, — że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszał niepokojące klapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kielbasek już w niej nie było, a nad resztką chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejszą...

— Bodaj cię!... — wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy, żałośnie jęcząc:

— Aj — aj!... — aj — aj!... — aj — aj!... — aj — aj!...

Teraz dopiero patrząc na potargany papier i resztkę niedogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową i że, bądź jak bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

— Co ja będę czekał na ulicy, aż mnie przemarzłego wezmą do cyrkułu? — myślał. — Mam przecież bardzo przyzwoite *locum* nareszcie; któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później już był w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał przynieść herbaty, położył go, okrył i wsadził mu termometer pod pachę.

— No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? — zapytał śmiejąc się, nasz przyjaciel. — Cała rzecz w tem, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślał zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi, dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura i sto dwadzieścia uderzeń pulsu na

minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnem łóżkiem, co chwila wyzywał kolegę na dysputy: filozoficzne o tem, czem właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? — a już około dziesiątej wieczorem był tak zdrow, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto. gdzie, według jego spostrzeżeń, było już słońce i lato. Fawie siłą musieli go zatrzymywać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którem nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak szmaragdowy ocean, pokryty złotemi i srebrzystemi wyspami, które zaludniały postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

„Oczywiście mam gorączkę — myślał chory — ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?“

Więc patrzył na ów nowy kraj, uśmiechając się sceptycznie, jak człowiek, któremu pokazują nikuące obrazy opowiadanej bajki.

Przedewszystkiem uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brązowy, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i blaskiem. Takie barwy można widzieć tylko na obłokach, albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś potężne światło zewnętrzne, lecz nadto prześwieca i zarazem sam świeci niepojętem własnem światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów, pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświeceniu, wpatrzywszy się lepiej, można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozległ w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykłuwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym nateżeniu wzroku,

można dojrzeć snujące się, jak obłoki, myśli w głowach i zmieniające się barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szeleściści, powiew wiatru, nawet zmiana człowieczej fizjonomii, ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową i albo coś sam od siebie tłómaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię, czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym, jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od dyamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogiem i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszedniemi i wyblakłemi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę.

Regularne twarze i posagowe kształty nużyły jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

— Ech! taki on, jak miliony innych; widocznie o nie się nie rozbil.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiała go i mówił sobie:

— Tego faceta musieli jednak dyabielnie przejechać!..

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księga, w której zapisywały się ważne wypadki.

— „Szczególna rzecz, — mówił — jak mi to przypomina zdanie: „Błogosławieni maluczy i ci, którzy cierpią...“ Muszę wyznać, że ci maluczy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.“

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z dyamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, z zazdrością i żalem tłoczące się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzywał strumień dyamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i owdzie wylaża wata, miała kolor i połysk szlachetnego bronzu ozdobionego klęczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się isierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatruwszy się bliżej, student poznał, że damy te nie nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicłość. Ażebym nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historia śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi, rozmaitego wieku, siedzących, stojących, albo leżących na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz obdarowany przez handlarke, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne

dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócić ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiedzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który, zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odyskiwały piknącą świadomość bytu, poto, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionemi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

— Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście — mówił student. — Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie a największem szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestye, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (dragoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii.

— Tym sposobem ja — dodał — mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencyę okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający:

— Aj — aj!.. aj — aj!... aj — aj!...

Dreszcz go przebiegł, i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

— Co, u dyabła! (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnem miejscu...) to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!.. No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bał, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do sztyku?

— Wartoby jednak zobaczyć — mówił po namyśle — jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, a ulubione książki, o znajome panny, a nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spoteźniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki; śledził bieg myśli trzeciego, który grał w szachy, czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okienicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo, czy cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nie zawsze jednako targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... — mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. — A może

ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjaciół wasze?...“ I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?...

Ehe! — zawołał — stare bajki... Muszę mieć tęgorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... Miałyby mnie już na zawsze udręczać te czarne nici? — myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo coraz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć nigdy!...

— Głupia historia! — mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach niewiści pełzały mu do serca, jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestję:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a naco radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejącej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarnka maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

— Dzień dobry! — rzekł student — a co to robicie majsterkowie?...

— Ja — odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja — dodał drugi — zamykam je w ciała ludzkie.

— Fluu! — gwizdnął student. — Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kielek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną, — mruknął drugi olbrzym — prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi — odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posepniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfunтового młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łądyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łądyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo wiedzła), a olbrzym brał znów kulę, znów wbijał jej kolec, aż do środka, znów wydobywał nową łądyżkę światła, która, wystawiona na powietrze, znów rosła.

I tak wciąż.

— Za pozwoleniem — rzekł do straszdyła ubogi student, dotykając palcami czapki — a co to majsterek robi?

— Pomagam rozwijać się duszom — odpowiedział strach.

— Aż granit skwierczy — rzekł student.

— Ale zato, spojrzij acan, co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łądyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła.

Lecz jeżeli wionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy — usychał.

A straszdyło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Któż pan jesteś, panie majster?... — spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem Cierpienie — odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. — Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materii...

— Oj!... muszę mieć dyabelną gorączkę — myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

— Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszeryi. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim ra-

nie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze niema celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się niem oganiać przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy. Dalej... ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazyum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrow na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś Hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, poto, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

— Widzę, chwala Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych wełniastych obłoków, na której środku wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały, jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student odrazu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łąjące po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posagu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak, że nad poznaniem jednego fałdu praco-

wało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy rzeczywistości, należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to, rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków — i ci byli najzuchwalsi.

— Mam lunetę — wołał jeden — tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

— Co tam lunetę! — odparł drugi. — Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia niewiele w naturze — dodał trzeci — choć zrobiłem sztuczny mocz, nie różniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem...

— Każdy osieł robi to lepiej i taniej — przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim destylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczku zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

— „Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, lecz całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...”

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: „aj—aj!...” — które tak wstrząsnęło chorem, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życia ludzkie, ani na pla-

szczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, lecz na szpitalnem łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie? — zapytał.

— To ty mówisz? — zawołał jeden. — No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obcasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słyszać?... Jakie wiadomości?... — żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał.

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskające z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.



BABUNIA.

Za łaskawem zezwoleniem Autorki.

I.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach siedziała w pokoju chorych wnucząt i przy świetle małej lampy robiła pończoszkę. Synowa po paru nocach, spędzonych nad łóžeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym; w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późny. Chore dzieci spały, babunia dumiała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz osłonioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumiała.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną. O, Boże! Dzieci, to szkło kruche, to lekkie listki jesienne; lada co może je skruszyć i zdmuchnąć! O, Boże! Smutno na ziemi. Każde dobro niepewne, każdy skarb nie-trwały; dziś jest, jutro może już nie być; rzadki dzień bez wspomnień żałosnych lub przewidywań trwożnych. Powiadają ludzie, że wspomnienia są klejnotami, zgromadzonymi na porę ubóstwa. Może inni tak czują, ona nie. Dla niej wspomnienia — to obrazy kochane, oprawione w łyzy, a dlatego w łyzy, że nie może patrzeć na nie oczyma suchemi.

Ale, co im się stało, co im jest, tym kociętom drogim? Na Wandeczkę lekarz weselej trochę spoglądał, ale Tadzio zaniepokoił go widocznie. Po też chłopczyną ten nie jest wcale dzieckiem zwykłym, a dzieci niezwykle... o, Boże!...

W domu i za domem cisza głęboka i jeden tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro skrzypie po papierze równo, ciągle. Niekiedy też chore dziecko zaszeleści w pościółce i zcicha zastęka; wtedy babunia podnosi głowę i pochylona ku łóžeczkom, wsłuchana, oczekująca, tak wygląda, jakby na pierwsze kiwnięcie palcem tej mary, która zwie się

nieszczęściem, gotową była biedz, lecieć, osłaniać, bronić... Ale dzieci śpią ciągle. Może to być sen sztuczny, przywołany przez tę miksturę, która we flaszcze stoi na stoliku i sztywną receptą sterczy pod światłem lampy. Flaszka z receptą w świetle lampy przysłoniętej ma w sobie coś ponurego. Ponurość płynie z ciszy grobowej, która dom napęnia, z długich cieni, które od sprzętów padają na ściany, z nierównych oddechów chorych dzieci, z równego, ciągłego skrzypienia pióra po papierze, w pokoju sąsiednim.

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty człowiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Babunia widzi przez drzwi wpół otwarte plecy jego przygarbione, głowę, z siwiejącymi włosami, profil surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na czole. Z postawy i rysów ten syn podobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie rozwartą przed ludźmi, a dla niej — choć już siwieli oboje — serce kochanka. Zygmus jest skrytym, ostrożnym i ostrym — nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o, nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki cierpienia: tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmuś jest to, że żyje w momencie twarzym dla życia. Bóle skrywane zaśląły mu, jak kamienie dno duszy; reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepekmyśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmuś. Nie dlatego, aby wyrzadził jej kiedy jaką krzywdę, albo dotkliwą obrazę; owszem, nie uchybia nigdy ceremoniałowi uszanowania synowskiego. Ale ona wie, że ten ceremoniał to forma, z której miłość uciekła. Była kiedyś! Widuje ją i teraz na obrazach, oprawionych w łąy, ale inaczej już nigdy, oddawna. Przytem natura jej miękka, wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, gestem szorstkim, wejrzemieniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: „Nie dokuczaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów!“ Więc z jednej strony ceruje i łąta swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo to jeszcze czuje, że zawadza. Synowa, kobieta uczciwa, lecz

oschła i wiecznie stroskana, wolałaby mieć w domu siostrę swoją, niżeli matkę męża; usuwa też ją od dzieci, może zazdrosna o ich serca. I ma prawo to czynić, ma prawo! Jest im najbliższą, one do niej należą. Nawet pokoik pod dachem przydałby się bardzo dla wnuczki najstarszej, już podrastającej. Słowami nikt jej nie wyrzuca; lecz zdarzają się spojrzenia, gesty, równie wyraźne, jak słowa: a jej i tego nie potrzeba, aby rozumiała, że jest u tego wozu piątem kołem, w tej księdze kartką żółkłą, z pismem zbladłym, której nikt już czytać nie chce. Więc i nie upomina się o to nigdy. Cokolwiek czuje i myśli, nie zwierza tego przed nikim; wszyscy też mniemają, że lata zgasiły w niej do szczytu wszystek ogień i wszystko światło. Otrzymuje z łaski syna to, czego jej jeszcze potrzeba: kąpiel ciepłą, pożywienie, odzież; gdyby występowała z pretensjami innymi, byłaby wprost śmieszna. To też nie występuje; lecz niekiedy bardzo wyraźnie czuje w sobie jeszcze duszę ludzką, duszę kobiecą, której rosół nasycić, ani piec ciepły rozgrzać nie może, która też kurczy się i napełnia smutkiem od głodu i chłodu, nieznanego ciała. Ciało syte, dusza głodna; ale babunia jest rozsądną i uczucie osamotnienia głębokiego kryje przed ludźmi, jak zbrodnię. Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecionemi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odmawia długi różaniec imion drogich, umiarkowanych na wieki: a wtedy, to wszystko, co napełnia jej duszę szczerlnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami pełnemi obrazów. Na tych obrazach jaśnieją, uśmiechają się, po imieniu ją nazywają oblicza pogasłe na wieki, drogie a wśród nich najczęściej, najpotrzebniej, najrzeczniej, jedno — najdroższe...

Jednak, w tej chwili, wszystko, co od lat wielu było jej samotnością serdeczną, tęsknotą, żalem, nazywa urojeniami pustemi i grzesznemi. Gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się, albo pragnąć czegokolwiek, wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesole — to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nieszczęściu prawdziwemu. O życie obojga drży zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących, najwięcej kocha — Tadzia: to z pośród kociąt kocię najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka Jasia: to samo

czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny Ignie do niej serdecznie, na jej widok biegnie rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła; spędza też z nią często szare godziny zimowe...

II.

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoiku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci lub w oddaleniu; wspomina, a tymczasem szara godzina coraz ciemniej, ciemniej, aż pokóik na górze z jednem oknem napęlnia się grubym zmrokiem. Wtedy zaczyna stawać się wkoło niej rzecz szczególna. W grubym zmroku zaczynają powstawać formy białawe lub czarne, zrazu jedna potem kilka, kilkanaście, coraz więcej. Babunia jednak ani lęka się, ani dziwi, bo wie oddawna, że są to widma rozsianych po świecie grobowców, które w ciemności ciszy przybywają do niej, mnożą się i stają tak licznymi, jakby kto je tu nasiał pełną garścią. Dokoła fotelu, na którym siedzi pośrodku pokoju, we wszystkich kątach, bieleją w szarym zmroku widma grobowców, wyższe, niższe, pośród których krzyże czarne rozstawionemi ramionami zmrok ten przerzynają. A wśród tych form białawych i czarnych przeszłość lata na cichych skrzydłach i... szepce — szepce imiona zdrobniałe, słowa serdeczne, rozmowy poufne: wszystko, co serce miało, utraciło, a pamięć podjęła dla przechowania dośmiertnego. Szara godzina, pełna białawych i czarnych widm grobowców i krzyży, napęlnia się jeszcze szeptem, w który babunia wsłuchuje się pilnie, gdy z oczu jej na suknię czarną pada tyle kropli gorących, ile słów dokoła jej białego czepka wyszeptuje przeszłość.

Wtem — skrzyp! drzwi otwierają się powoli i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?

— Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię! a co tam takiego?

— Nic, ja tak sobie... *przysedłem* do babuni... — I już jest na jej kolanach. Zapaliłaby lampę, ale tak mocno oplótł ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Poco lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to

w drugi, przyglądać jej włosy nad czołem i głosikiem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wieleś!*

Bo była to namiętność tego malca: uczyć się z ust babuni wszystkiego, co tylko ona sama na pamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet:

— A czy znasz ty bracie młody,
Twoje ziemie twoje wody?

— A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy. Widma grobowców i krzyże znikają; od dwu twarzy, ku sobie przybliżonych, bije w grubą, szarą godzinę luna zachwycenia...

III.

Cyt! poruszył się, jęknął, w półświecie rozległ się szept świszczący: pić!... gorączka. Babunia porwała się z krzesła i tak lekko, jakby miała nogi dwudziestoletnie, przybiegła do małego łóżka. Szklanka z napojem, przyłożona do ust otwierających się, jak dziobek ptaszczy, kilka słów, zamienionych pieszczotliwymi głosami — dziecko spało znowu. Spało, lecz niespokojnie, z oddechem przyspieszonym, z drganiami bólu na tem drobnem czole, które było tak uderzająco podobnem do czoła nieboszczyka Jasia. Pochylona, z oczyma wlepionemi w dziecko chore, z rękoma bielejącemi, jak opłatki na sukni czarnej, babunia myślą wołała coraz błagalniej: Boże! Boże! Boże! — Nie nad to jedno imię myślą wymówić nie mogła, lecz wlała w nie wszystkie siły, cały wzlot, całe napięcie serca strwożonego. Więc nie spostrzegła, że do pokoju weszły dwie kobiety i przy niej stanęły. Jedna z nich szeptała:

— Niech mama już spać idzie. Adelka przyszła i będzie czuwać nad dziećmi do rana.

Adelka, siostra synowej, podstarzała panna, w jedwabnej sukni, z chłodnemi oczyma i zaciętymi usty... W sereu babuni zawrzało. Dlaczego ma ustępować przed Adelką? Matka, to co innego, ale ta... prawie obca! Jedwabną suknią przy samej główce dziecka szeleści, zbudzić je może, a potem

sama zasnąć gotowa, bo serce jej nie będzie pewno młotem takim, przy którego stukaniu spać niepodobna. Wyprostowała się, spojrzała na synową oczyma, w których przemknął błysk dwudziestoletni, i cichym szeptem zaczęła:

— Moja Julciu...

Ale chuda kobieta, ze znużoną twarzą, wpadła jej w mowę:

— Moja mamó, niech się już mama nie sprzecza! Kiedy takie nieszczęście w domu, nie trzeba przynajmniej robić ambarasu. Oczy zgasły, plecy się przygarbiły: miała odejść. Ale Adela, idąc przez pokój, jak wiatr zaszeleściła suknią. Jest-że sens wkładać suknie jedwabne do czuwania nad choremi dziećmi! Spłóła ręce jak do modlitwy:

— Moja Julciu, może pozwolisz, abym tę jedną noc przesiedziała przy nich...

Tu jednak wtrąciła się już Adelka:

— Rozchoruje się pani od niespania i zrobi w domu drugą jeszcze biedę!

A synowa dodała:

— Trzeba, moja mamó, o wieku swoim pamiętać!

Niechże ją Bóg broni, aby miała domowi temu robić biedę jakakolwiek! O wieku swoim też pamięta. Ma się rozumieć! Jakże mogłaby choć na chwilę zapomnieć o tem, o czem wszystko co chwila jej przypomina?

Odeszła. Tylko co biegła do łóżka chorego wnuka tak lekko, jakby miała lat dwadzieścia, a teraz, gdy przechodzi przez pokój syna, wciąż nad biurkiem pochylonego, stopy jej zaledwie wloką się po ziemi, ból krzyża dolega i głowa smutna, ciężka, o tem tylko myśli, jak zdoła przebyć tę noc nieskończoną, zdala od chorych kociąt, zwłaszcza od Tadzia. Nie wiedzieć, jak mu jest i co się z nim dzieje — to męczarnia. Wie, że noc głucha przejdzie jej w bezsenności napełnionej trwogą: więc kibić wąta pochyła się, przygarbia, przybiera pozór starości niedoleżnej. Przytem obuwie, płytkie i znoszone, co chwila uderza o podłogę ze śmiesznym odgłosem: klap! klap! Jest w tym odgłosie smutny komizm rzeczy zaniedbanych i zniszczonych. Ale wkrótce miesza się z nim szept przy biurku:

— Mamó! mamó!

Co się stało? Zygmus przemówił do niej! Od lat wielu nie zdarza się to prawie nigdy. Dawniej próbowała

o tej porze zbliżać się do pracującego, pogłaskać go po włosach, przypomnieć potrzebę spoczynku. Ale spostrzegła, że mu przeszkadza, że pocałunek ręki, którym odpłaca jej nieśmiałą czułość, jest roztargniony lub zniecierpliwiony: więc nabrała przezwyyczajenia przesuwać się za jego plecami, z cichością cienia. Teraz on sam ją zawołał. Zdziwiona zbliżyła się natychmiast.

— A co, Zygmsiu?

Prostując grzbiet steżały od pochylenia i patrząc na nią z pod powiek znużonych, powiedział, że miał potrzebę zajrzeć dziś na strych, pewno niewidziany przez nikogo, i niespodziewanie znalazł tam w kącie najciemniejszym zegar, o którym wszyscy zapomnieli.

— Ten zegar z kurantami, co to... pamięta mama?... stał w pokoju ojca.

Aż ręce splotła u piersi, tak zdziwiła się i ucieszyła.

— Mój Zygmsiu! Zegar z kurantami! ależ pamiętam! jakże mogłabym nie pamiętać! Na strychu, w ciemnym kącie... ot, mój Boże! a dawniej... Nie śmiałam nigdy zapytać się o niego. Aż się znalazł! Czy został tam, Zygmsiu, w ciemnym kącie? Czy będę mogła jutro pójść na strych, do tego kąta... zobaczyć?

Mówiła o zegarze, jak o człowieku wargami drżącymi.

— Myślałem, że widok tego grata sprawi mamie przyjemność, więc sam, ze stróżem, zaniósłem go do pokoju mamy. Stoi tam przy ścianie. Klucz do nakręcania na szafce. Zardzewiał trochę.

Zapagnęła podziękować, głowę syna, który pomyślał o sprawieniu jej przyjemności, ramię ogarnąć; ale ta głowa była już pochylona nad arkuszem papieru, a ręka zatapiała pióro w kałamarzu.

— Tak późno, Zygmsiu... zdrowie stracisz — szepnęła.

Pisząc już i nie podnosząc oczu, odpowiedział:

— Cóż robić, moja mamo? Tak trzeba!

Oddaliła się, myśląc: to prawda! tak trzeba! Uczciwy jest, ma obowiązki ciężkie, czyni im zadość wytrwale, twardo. Tylko w potrzebach ciężkich i w pracy twardej serce jego ocieżało i stwardniało. Nie znikło przecież. Pamiętał stary zegar, na widok jego pomyślał o matce. Miał serce tylko na rozczulanie się czasu nie miał. Życie jest takim: przyciska serce głazami ciężkimi, aż skureczą się, a czasem i skruszą.

Szkoda serc, bo są to jedyne niefałszywe brylanty świata. Cóż, kiedy tak trzeba!

Znowu raźnie, lekko wstępowała na ciemne wschodki. Pilno jej było powitać przyjaciela, starego świadka czasów przeminionych, który posiadał nie tylko oblicze, ale i głos. Miała takie uczucie, jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych, którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: jak się masz? czy pamiętasz?

IV.

Miał już chyba lat ze sto i niegdyś czasy wielkiej świetności. Był lubiony, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąt ciemny; zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało na wieki. Teraz nagle, wydobyto go z więzienia, w którym upłynęły mu długie lata.

Była to najprzód szafka hebanowa, dość wysoka, wązka z brązowymi ozdobami na powierzchni czarnej i z okrągłym otworem u góry. Przez ten otwór w obwódce brązowej, wyglądało oblicze zegara okrągłe, żółtawe, z dwunastu znakami rzymskimi dokoła i dwiema długimi liniami wskaźników. W świetle lampy ukazywały się wyraźnie ślady zaniedbania, któremu uległ: szczyrby na drzewie, rdza na brzoźnie; ale pył otarto już zeń starannie i klucz do nakręcania złożono na szczycie szafki.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem z głową, w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko; na czole wysokim sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszepotała i głowę wstrząsnęła tak, jakby mówiła: „Jak się masz! Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz?” Ale nie przybliżała się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzyła.

Zegar wzajemnie patrzył na nią przez okrągły otwór z brązową ramką. Linie wskaźników, czarne na tle żółtawem szeroko rozwarte, nadawały mu wyraz powitania i, jak ramiona rozpostarte do uścisku, mówiły: „Jak się masz? Zbliź się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!”

Kilka minut upłynęło, dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno z dołu, drugie z góry, patrzyły na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stółek do szafki i, stanawszy na nim, zaczęła oglądać zegar zbliżka i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki, z wierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niegdyś nakręcać go umiała; potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrzałym — szczęścia i smutku; wybił też tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodyą ciszę nocną, rozmowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób: już to uczyniła i — o dziwo! — zwłoki najmniejszej, oblicze nieme przez lat wiele zagadało szmerem, trochę ochryplym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nie tylko patrzył, ale i mówił. Gdybyż zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w rękę zaczęła oglądać powierzchnię zegara, — przypominać sobie, próbować. Przykładała do punktów różnych klucz i palce, naciskała, otwierała, przesuwiała majstrowała, z takim natężeniem uwagi i chęci, że zmarszczki czoła zbiegły się pomiędzy brwiami w jedną, grubą fałdę, wargi wyduły się, oczy piwne nabrały ogników złotych. A oko w oko z tą twarzą kobietą pomarszczoną i skupioną, oblicze zegara, okrągłe i żółtawe, przybierało wyraz wesołości żartobliwej, bo światło lampy igrało po niem błyskami migotliwymi, od których też stare brzozy na szafce zapalały się gdzieś tam iskry swawolne.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, niezapstrykany: będzie grał kuranty! Będzie lecz nie natychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu godzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie zużywać nafty — i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasiła lampę i — zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że pokój napelni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś, pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżycy i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi błado-złotej. Plecami oparta o staroświecką poręcz fotelu, babunia siedziała u skraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w półmroku. O parę kroków za nią, także w półmroku, stał przy ścianie zegar stary, dobywając z czarnej szafki, jak mumię z futerału, oblicze okrągłe i białe. Babunia, ze splecionemi u piersi rękoma, patrzyła na wstęgę błado-złotą, ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył dźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę popołudną. Wnet potem w bladym świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozlega się muzyka — poważna, szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak tryumf rycerza, — muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotelu, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napełnionej światłem rześnistem i tłumem twarzy znanych, kochanych!...

Zegar gra; słychać w nim trąbki, flety, harfy, czasem waltornia uderzy w bas głęboki, a czasem, niespodzianie, meledyę porywa chór dzwonków eichych i, wydzwoniwszy frazes muzyczny, zwraca ją trąbkom, fletkom i harfom. To kurant starego zegara, — ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swoim weselu...

W sali napełnionej światłem ognistym, młody i rażny z szerokiem czołem pod złotymi włosy, z rozkochaniem w błękitnych oczach i z czapeczką kwadratową w ręku, idzie on ku niej, całej w bieli, spłonionej, szczęśliwej. Stał przed nią, ręką trzymającą czapeczkę uczynił szeroki gest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rześniste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade

ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszeptały nieprzytomnie: „Co to? kto to? o, Boże!“ Z ciałem bezwładnem od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzyła i szeptała: „Co to? kto to? o Boże!“

V.

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze blado-złotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotymi włosy, z rozkośnieniem w błękitnem oku, z czapeczką kwadratową w ręku. Poznała go, patrzyła, z ramionami zawieszonemi w powietrzu! a tymczasem zegar grał i on szedł, od nieba ku jej stopom, aż stanął przed nią i ręką trzymającą czapeczkę kwadratową uczynił szeroki gest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najlżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które знаła tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i zeicha rzekł: „Pójdź ze mną!“

Wtedy powstała i zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni, poważnym polonezowym krokiem, z twarzami ku sobie obróconemi, szli po wstędze blado-złotej, od biednej podłogi z grubych desek ku niebu promienistemu, coraz wyżej...

Szła lekko, stopami zaledwie dotykając drogi oświetlonej i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą.

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dalsza, na nizinie coraz głębszej, malała, znikwała.

Z twarzą ku jego twarzy obróconą mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci bieleły i plecy garbiły się trochę; a teraz jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy, siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mię kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę blado-złotą, po której szli, i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała — jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze usłanej z promieni — i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach kruczych. I nie tylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką, ze stopami, zrywającymi się do biegu, z powiekami, wstydliwie opadającymi na oczy olśnione i zdumione. Płonąc radością i zawstydeniem, szepnęła:

— Gdzież się podziały lata, które, jak ciężkie pługi orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem blado-złotem, odbijającym postacie młode i napowietrznym płaszczem miłości okryte, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreślały w przestworzach nieskończonych harmonijne elipsy i koła. Nieskazitelną czystość eteru rozlegała się po tych przestworzach; w ciszy pełnej światła, linii, ruchów zgodnych a swobodnych, mleczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności; komety świetlne przelatywały, szumiąc warkoczami splecionymi z płomieni, jak bory, gdy po ich wierzchołkach-szumia skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz, młodzi i piękni, okryci płaszczem miłości szczęśliwej, nie szli już, ale płynęli nad wstęgą blado-złotą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustami przy jej czole mówił:

— Otwórz serce i pokaż mi je aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemiona, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Prostu ufność bezgraniczna przyszła i serce jej na oścież przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu,

w którym się rozstali, aż do tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po których gdzieniegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożoną na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań jego spełnić nie mogła: nie oskarżyła nikogo. Bywała opuszczaną i zapomnianą, dusza jej żyła długo w osamotnieniu i chłodzie; ale nikt temu nie winien, nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają; więc i ona dźwigała swoje, bo widać tak było potrzeba; a zawsze czuła to i myślała, że małej, w cierpieniu i winach wszystkim równej, przystoi jej tylko — przebaczać i mileć. Więc nawet przed duszą własną nie oskarżała nikogo, a odkąd się z nim rozstała, nie opowiadała duszy swej przed nikim. Ale teraz, gdy to czyni, czuje, że wraz ze słowami wychodzą z niej wszystkie gorycze i żale, a natomiast wstępuje taka lekkość, jakby straciła wszelki pyłek brzemion ziemskich, a wzamian dostała — skrzydła.

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciadle blado-złotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, ale nie był to krzyk taki, jakie rozlegają się na ziemi, bo z ust jej wyszedł akordem muzycznym, wydłużonym w pieśń radośną, która lecąc od gwiazdy do gwiazdy, echami zaczęła każdą i razem z gwiazdami płynęła w przestworza nieskończone. On zaś rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej, w napowietrznym płaszczu miłości szczęśliwej, z lecącą przestworzami pieśnią radości bezgranicznej, coraz wyżej.

Patrząc na niezmąconą pogodę jego oczu, przypomniawszy sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały, i zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam — odrzekła. — Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych

żywnością, ani dla ciała twojego schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeciwnie, miłość ta była nieszczęściem twojem, chmurami przegłądała się w twych oczach, i może przez nią — zawsze to sobie myślałam — przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmacona.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie — i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona okiem, w której przeźroczach kryształowych płonęły wszystkie dyamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwitwały z łon światów wszystkich. Wznosiły tam arkady wszystkie tęczy i rozwijały się w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzeńki, jakiegokolwiek zdobyły kiedy wszystkie niebiosy; i cokolwiek na globach niezliczonych, wirujących po przestrzeniach bezgranicznych, było zaczątkiem piękności, wszelka barwa, linia, forma, nosząca w sobie jej pierwiastek, tu dosięgało pełni swej doskonałej. W tej zasłonie, rozpostartej u wrót niebieskich, odbijało się wszystko, co tylko było pięknem na światach niezliczonych, ale w spotęgowaniu, tak niepojętem dla istoty ziemskiej, jak są dla niej niepojętymi: Wszechmoc i Bezmiar.

U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkaną zasłona niebieska, grał bezmiar tonów. Gwiazdy, w wiekuistych podróżyach swych tu przybywające, obracały się na swych osiach z graniem zgodnem i łagodnem, komety przelatujące ziały pieśnią materji topiącej się w ogniu, eter dzwonił po kryształach, a morza, puszcze, otchłanie bezdenne, skrzydła niezliczone, wszystkie płomienie gorejące na wszystkich światach szumiały chórem gam, przebiegających wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie ogromów pełno też było o, dziwo! — głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczków, pełzających w trawach, szelesty, z jakimi kielki roślinne dobywają się z ziarn pękających, kwilenia w kolebkach, łkania w cichych nocach... muzyka gwiazd, komet, eteru, mórz, puszczy, skrzydeł, i płomieni — nie zagłuszała wcale tych głosów maluczkich: owszem

usiewały ją one, jak ziarnka maku rolę bezbrzeżną wyraźne, równe jej i — równie słuchane.

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconemi na szyję najdroższą, stała u zasłony, okrywającej wrota niebieskie i — słuchała. W zachwyceniu i podziwie słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, z pośród nich tu przyszła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje boża krówka, gdy z jednego zdźbła trawy przesuwają się na inne. Z takim szelestem kłos zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się kłosom innym... a to westchnienie... o jakże mi znane! Zygmuś, po pracy znoonej, z głową bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsznianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyka drobna złożona z trąbek, flecików i dzwonek. Kędyś, na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu?

Słuchał. Z ziemi, z pod dachu rzuconego pomiędzy tyśiące dachów, dobywała się muzyeczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa jak miłość kochanków, niekiedy dumna jak tryumf rycerza — muzyka poloneza. Słuchał — i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

Wtem z roju głosów malutkich usiewiających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze; był to wyraźny żałobny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu? Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore i jest tam przy nim kobieta z zinnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna uciszać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze! Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową, pochyloną ku nizinie odległej,

wsluchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem:

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższe! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi blado-żółtej i z pośród gwiazd grających, z pod zasłony utkanej z bezmiaru piękna spadła w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

VI.

Od dość już dawna, kędyś na niebie, tarcza księżyca zsunęła się z widnokregu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z niemi za światy wstęga blado-żółta, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętniał miarowo: tak-tak! tak-tak! a z dołu z pod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żałosny.

Oczy babuni pełne jeszcze były światła niebieskich i rysów oblicza najdroższego; w uszach jej brzmiała muzyka gwiazd coraz dalsza, konająca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą w łzach stała wyprostowana, szepejąc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzało na nią z góry i wskaźnikami, szeroko rozstawionymi, objawiło zdziwienie niezmierne.

— Wróciłeś? Jakto! Od wrót nieba wróciłeś?

Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstępowała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju chorych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo ~~plakał~~. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast naradzających się i strwożonych. Teraz pomiędzy nim a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od nieba.

— Kocię najdroższe!

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim, i babunia, dźwignąwszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy nocnej, pośród cieni, które od sprzętów padały na ściany. Chodząc, głosem drżącym, czasem aż dygocącym, nuciła stary kurant zegara.

Placz dziecka ustawał, zmieniał się w ciche chlipanie; twarz drobna, rozpalona gorączką, miłośnie tuliła się do ramienia najdroższego, aż głosik splakany przemówił:

— Babuniu, *wielse!*

— Wiersze, kocię najdroższel chcesz wierszy? dobrze, zaraz będą!

Wśród długich cieni, które od sprzętów padały na ściany, w słabem świetle lampy nocnej, nosząc go w ramionach, posuwistym, polonezowym krokiem, to w jedną stronę, to w drugą, na nutę starego kuranta trochę śpiewać, a trochę mówić zaczęła:

— Dwór pod lipą stoi biały.

Pod Piastowym dębem chata..

A on, który znał to już dobrze, razem z nią mówił dalej:

— Nad nią bocian gniazdko splata.

A w niej żyje lud *zuchwali*.



MOMENT.

Za łaskawem zezwoleniem Autorki.

Słońce letnie zachodziło; pole, powietrze, niebo, były zupełnie ciche. Cicho od zorzy wieczornej odrywały się i po błękitnem sklepieniu płynęły obłoki złotawe i różane; cicho na wzgórzystem polu kwitły, wśród brunatnych owsów, łubiny ogniste i gryki śnieżnie białe; ciszę powietrza haftowały grubszyimi i cieńszymi tonami brzęczenia owadów i świegot ptactwa w dzikich gruszach, na miedzach. Ani najdalszego choćby gwizdania lokomotywy, ani tego turkotu i szumu, który jak burzę grzmot oddalony, z oddalenia oznajmia wielkie zbiorowisko ludzi; ani nawet na polu pługów i oraczy, bo dzień był świąteczny.

Pusto i cicho.

Oprócz przyrody świeżej, wonnej, ukojonej spokojem pięknego wieczoru, nic.

Szmat ziemi pełen wdzięku, lecz bezludny i drzemiący; zakąt świata głuchy, od miejsc jego hałaśliwych i świetnych bardzo odległy.

Jednak na polu, biała wśród zbóż brunatnych i żółtych, wiła się między wzgórzami droga, prowadząca... dokąd? Trudno byłoby zgadnąć, bo mogło się zdawać, że ku jakiemuś chyba skrajowi świata, na którym kończy się życie ludzkie. Ale życie ludzkie buduje sobie często mrowiska zaledwie widzialne i tak podobne do śmietnisk, że zbliżka zobaczyć je trzeba, aby spostrzedz, że są i że napęniają je istoty żyjące.

Do takiego mrowiska wiodła biała droga, wijąca się pośród wzgórz i zbóż. Jak szklanym kloszem czystym i przejrzystym, ciszą pola, powietrza i nieba otoczone, stało tam małe miasteczko, szare, niskie, podobne do śmietniska.

Uliczki ciasne, z niskimi, poczerwiałymi domkami, z rzędami okienek, wyglądających jak mętne oczy w oprawie zestarzałej, wrota otwarte na podwórka, wybuchające zaduchem, głosami zwierzęcymi i wrzawą dziecięcą. Środkiem

uliczek pasy czarnej grudy; to błoto, ścięte przez upały letnie, a z obu stron jego ścieżki, podobne do drożyn, którym chadza twarda bieda i szara ciemnota. Gdzieniegdzie, wśród szarzyny, płot nowy, świecący jaskrawą żółtością, albo brzoza z obwisłymi gałęzmi, wierzba z ramionami powykręcanemi, grusza rozłożysta. U płotów gnijących lasy dzikiego zielska. Tu i ówdzie rudery, belkami sterczącemi w powietrzu i kominami nagimi przypominając kości, ogołcone z ciała.

Ludzi mało, kiedy niekiedy zaledwie przechodzień, twardą ścieżką przesuwający się pod płotami i znikający w cuchnącem podwórku. Trochę psów chudych i smutnych, które leżą u podwalin domów, albo wałęsają się od podwórka do podwórka, zaglądają do ruder, szukając żeru. Głosy tylko dzieci i zwierząt, gdzieniegdzie także ptaków: kur, wróbli, lecz rozmowy nie słychać żadnej. Możnaby myśleć, że tu nikt nigdy nie rozmawia. Okienka domów zamknięte; pomimo że dzień był upalny, a wieczór jest bardzo świeży, wszystkie one są zamknięte. Możnaby myśleć, że tu nikt nigdy żadnego okna na świat nie otwiera.

Brudno i ciasno, smrodliwie i bezludnie.

Nad szlakami czarnej grudy zdają się przeciągać powietrzem i na sterczących ruderach zawieszać się chude widma snów leniwych i niezdrowych. Tylko nad omszałymi dachami wzbijają się ku niebu wstęgi dymów przeźroczystych tak, jak płynące po niebie obłoki, różanych i pozłacanych. Te lotne wstęgi wziąć można za westchnienia, posyłane przez dusze ludzkie ku wysokościom, z nędznych legowisk, na których tarzają się ciała. Tylko u skraju uliczek, tuż przy polu, trochę domków małych, lecz nieco nowszych, świeższych, weselszych niż tamte. Z za szyb drobnych uśmiechają się one barwami kwitnących pelargonii, a z za płotów jaskrawemi twarzami malw i georginii.

Tu częściej rosną drzewa, częściej na podwórkach gwarzą głosy ludzkie, psy są żwawsze i mniej wychudłe, lecz w jednym miejscu dzieje się coś ponurego. Okna jednego z domków, przy niezgasłym jeszcze świetle dziennem, błyskają płomykami palących się świec i wychodzą z za nich odgłosy pieśni basowych i głębokich. Te palące się świece — to gromnice, a te pieśni — modlitwy, wyśpiewywane nad umarłymi. Słychać też tam płacze kobiece i w ogródku wi-

dać człowieka barczystego, który siedzi na ławce z wielką twarzą tak zmartwiałą, że ma pozór rzeźby, wykutej w szarym kamieniu. Ściśnięte pięści, także jak kamienie, leżą mu na kolanach.

Tu, pomiędzy malwy i georginie, w wonnych oddechach poblizkiego pola, zleciała śmierć.

Wszystkie uliczki, jak ciemne strumienie do mętnego stawu, zbiegały się do przestrzeni okrągłej i dość rozległej, otoczonej domami nieco większymi, nowszymi, niż tamte, usiłującymi też naśladować dworki wiejskie: posiadały małe ganki na słupkach, drzewa u ganków i kwiaty u okien. Tylko że drzewa i kwiaty miały pozór zwiedły, a na gankach leżały słomy zmięte, szmaty papierów i płócien podartych, drzazgi, niedopałki, różne odpadki bez kształtu i nazwy, z izb, z wozów podróżnych, z pudeł kupieckich, z rąk przechodniów tu wyrzucane. Nietylko tu, bo zaścieniały chropowatą powierzchnię rynku wszędzie, kędy tylko na drodze nie stawały im kałuże. Bo nadaremnie upalny lipiec, przechodząc świat, wysuszał wszystkie wody: te nie ustąpiły przed jego słoneczną pochodnią i stały bez ruchu, bez połysku, podobne do szczelnie zamkniętych i mętnych okien domostw, które otaczały rynek. Zato ganki tych domostw były pełne rozmów, targów, sprzeczek, postaci ludzkich, niezgrabnie ubranych, grubych, szarych, które przed końcem dnia usiłowały kończyć grube i szare sprawy codzienne.

Znać było, że w tem miejscu puls miasteczka uderzał najsilniej, i to także, że roznosił po organizmie krew zgęstniałą i niezdrową. Jak na uliczkach powietrzem wlokły się i na rude ach się zawieszały sny leniwe, tak pomiędzy tymi ludźmi, na rynku, czuć było uwijanie się skrętnych, wykrzywionych, gadatliwych widm biedy, zarobku, chciwości i zysku.

Pośrodku zaś rynku było miejsce zupełnie do wszystkiego, co je otaczało, niepodobne, jedyne: kościół niewielki, bardzo stary, od starości głęboko poczerniały, z wązkimi oknami, w których zorza wieczorna zapalała płomyki rubinowe, ze szmaragdową zielenią trawnika i czystą białością ścieżek, z przezroczystym ogrodzeniem, nad którym odwieczne lipy rozwieszały gałęzie szerokie i silne. Tu panowała czystość niepokalana, rozlewał się spokój taki, jak na przestronnych polach, łagodnie szemrały liście lip, od ziemi były

wonie ziół, kwitnących w trawach. Tam zaś, gdzie rozstępowały się nieco stare lipy, stał wyosobniony, całą przestrzenią trawnika z kościołem rozdzielony, bardzo wysoki krzyż. Bardzo wysoki a cienki, linią delikatną i przeczystą przebiegał powietrze, pełne kurzawy i wrzawy, ramiona rozpościerając na tle różanych światła, które z zachodu płynęły po błękiecie. Wzrok, dążący ku szczytowi jego, wznosić się musiał bardzo wysoko.

Jedyny to był wśród powszechnego pełzania wysoki wzlot. Jedyny tu także dom ze ścianami błękitnymi i ze świeżymi kwiatami w ogrodzie, w pobliżu kościoła i krzyża, rozlegał się z za otwartych okien głosami dzieci, które mówiły o czemś, czegoś uczyły się i nagle zaczęły mówić chórem. W powietrzu rozległy się i ze szczytu wieży kościelnej rozlały się po miasteczku dźwięki dzwonu łagodne, czyste, wołające. Za oknami plebanii, razem z muzyką dzwonu, głosy dziecinne chórem mówiły:

— Anioł Pański zwiastował...

Było to w tej chwili jedyne tu miejsce, w którym usta ludzkie wspominały o Anielskich Zwiastowaniach...

Dzwon kościelny umilkł, natomiast w oddaleniu dało się słyszeć inne dzwonicie. Przybywało z pól szerokich i wpadało we wrzawę rynku, zrazu tak niewyraźnie, że można je było wziąć za jęk przestrzeni lub za coś takiego, co z przestrzeni nadlatywało jęcząc. Potem stawało się coraz bliższem, wyraźniejszem; parę osób na rynku słuchać zaczęło. Dzwonek pocztowy! Ktoś do miasteczka przybywa pocztą! Jakoż, niebawem na rynku ukazała się lekka karetka, w cztery konie zaprzężona. Na kozle, obok pocztyliona z blachą u piersi siedział lokaj w liberyi.

Wielkie wrażenie na rynku! Kto to? poco? Czy się zatrzyma? Gdzie się zatrzyma?

Mendel Szapir i Chaim Cygler, właściciele dwu jedy-nych tu domów zajezdnych, przez mętne szyby ścigali karetkę oczyma niespokojnemi. Konkurencya i przytem karetą, zjawisko bardzo rzadkie! Szapir uśmiechnął się, bo zobaczył na kozle pocztyliona znajomego. Ten pewnie gościa tu przywiezie.

Nie omylił się; karetka przed jego domostwem stanęła. Lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki, w których ukazała się kobieta z powierzchownością bardzo wytworną.

Czy była piękna? trudno było od razu rozpoznać, tak wydawała się zmęczoną i cierpiącą. Wśród twarzy bladej, z cerą bardzo delikatną, wielkie oczy z różową u powiek obwódką zdawały się patrzeć nie widząc, pod zsuniętymi brwiami ponure i przygasłe. Bardzo powoli wstępowała na kilka schodów ganku, z lekka szeleszcząc miękką suknią, za którą z przykrym chrzęstem zaczęły się ciągnąć uschłe słomy i zmięte szmaty papieru. Ruchem zupełnie machinalnym podniosła nieco suknię i obejrzała się za siebie, przy czem wielki brylant w kolczyku rzucił snop tęczyowych promieni.

Szczupły i zwinny Mendel Szapir, z twarzą nerwową, z cicha zapytywał pocztyniona:

— Kto to?

Z kozła odpowiedź brzmiała:

— Nie wiem. Zdaleka jedzie!

— A dlaczego nie zajechaliście na pocztę?

— Bo będzie nocować.

Wtedy właściciel zajazdu zwrócił się do stojącej na ganku żony:

— Ruchla! Będzie nocować!

A Ruchla z kolei, oglądając się na kogoś będącego w sieni, zawołała:

— Gitla! pokój gościnny zamiataj!

Rozkaz szybko spełniono, bo przybyła spotkała w sieni chmura kurzawy, wznosząca się z pod wielkiej miotły, energicznie poruszanej przez dziewczynę niedoroślą, chudą, śniadą, w nędznej odzieży, z ogromną kosą czarną na pochylonych plecach. Miotła, z przeraźliwym szelestem skrobiąc grubą podłogę, podnosiła kurzawę coraz gęstsza, krztusząc, ludzie wyglądali śród niej, jak niewyraźne widma. Jedno z tych widm, ze słodkim uśmiechem w głosie przemówiło:

— Niech jasna pani posiedzi sobie na ganku, nim pokój wymiotą. Pogoda taka piękna!

Drugie odpowiedziało:

— Proszę pozwolić mi wejść. Niech pokój zostanie jak jest. Wszystko mi jedno.

Z samego brzmienia głosu można było odgadnąć, że istotnie wszystko jej było jedno. Szła wprost w chmurę kurzawy, krztusząc się nią, lecz jej nie widząc.

Ruchla zawołała:

— Gitla! przestań zamiatać!

Wielka miotła upadła na podłogę; Gitla stanęła u drzwi gościnnego pokoju, jakby plecami do ściany przyklejona. Biedna, chuda, śniada, w nędznej odzieży, miała jednak dwie pyszne ozdoby: wspaniałe włosy krucze i oczy bardzo piękne, z czarnymi jak noc źrenicami na błękitnych białkach. Były też one, te oczy, lękliwe i w głębi niezmiernie smutne. Wpatrywała się niemi w nieznajomą, która w żółtej mgłę niezupełnie jeszcze opadłej kurzawy ściągała z ręki rękawiczkę. Gdy ją ściągnęła, Gitla zaszeptęła:

— Aj, aj!

Ruchla, stojąca w drzwiach otwartych, powtórzyła:

— Aj!

Biała, szczupła, bardzo zgrabna ręka nieznajomej, podnosząc się ku włosom, jak zielonym płomykiem błysnęła szmaragdem pierścionka.

— Może pani potrzebuje czego? — z najśłodszym w świecie uśmiechem, zapytała Ruchla.

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Ruchla z eleganckim ukłonem rzekła jeszcze:

— Może pani zaśnie troszkę. Zdaje się, że pani bardzo zmęczona.

— Nie potrzebuję niczego — powtórzyła nieznajoma.

Ruchla wysunęła się z pokoju, ale Gitla pozostała jeszcze. Jej czarne jak noc i jak ciężka służba zahukane oczy tkwiły ciągle w nieznajomej. Jakby ją oczarowało i do miejsca przykuło to zjawisko. Tak różne, jakby na różnych glebach zrodzone, dwie te istoty miały przecież jedno podobieństwo: gardła ściśnięte w srogich rękach losu. Obie były w różne sposoby, ale niezmiernie smutne. Po chwili z korallowych ust Gitli wyszedł chrapliwy, szorstki dźwięk:

— Może samowar przynieść?

Przybyła odpowiedziała:

— Dziękuję. Nie potrzebuję niczego.

Zdjął przytem kapelusz, z pod którego rozsypał się po czole i plecach deszcz blado-złotych włosów.

Drzwi zamknęły się z cicha za Gitlą, opuszczającą pokój. W sieni Mendel Szapir zatrzymał przechodzącego lokaja zapytaniem:

— Kto ona taka?

Lokaj wymówił nazwisko, na którego dźwięk kilka stolic świata odpowiedziałyby oklaskami i śpiesznym zrywaniem laurów na wieńce. Lecz Mendel Szapir słyszał je pierwszy raz w życiu i zapytywał dalej:

— Czy ona w mieście, czy na wsi mieszka? Co ona robi?

— Śpiewa! — z drwiącem trochę spojrzeniem odpowiedział człowiek w liberyi.

Mendel zdziwił się.

— Śpiewa? jakto śpiewa? Ciągłe śpiewa? Dlaczego śpiewa?

Lokaj z kilku pudełkami na ramionach chciał iść dalej, lecz Mendel zatrzymał go jeszcze.

— A dokąd ona jedzie?

— Do swego majątku.

— A gdzie jej majątek?

— O dziesięć mil stąd.

— Wielki majątek?

— Wielki.

Mendel Szapir skoczył ku jednemu z drzwi, prowadzących do sieni, wsunął przez nie głowę i zawołał:

— Ruchła! Sza! Niechaj cicho będzie w domu. To wielka pani! Może ona teraz śpi!

Nie spała. Jasne włosy, które falą rozlały się jej po plecach, zgrabnemi rękoma zgarnęła i zwinęła z tyłu czaszki niedbale, pospiesznie, byle jak, byle jak! Potem stanęła u okna, rozwarła je na oścież i wciągając w pierś powietrze, które wtargnęło do dusznej izby, silnie splotła i na suknię opuściła ręce. Patrzyła w przestrzeń, lecz znać było, że oczy jej długo bezsenne, z powiekami zarumienionemi, ani nieba, ani ziemi nie widziały. Wzrok ich zwrócony był wewnątrz, wpatrzony w jakąś wielką biedę, która, jak posąg kamienny na sarkofagu, leżała na sercu.

Pokój gościnny w zajezdnym domu Mendla Szapira był, jak całe to miasteczko, biedny, okurzony, brudny. Niedaleko progu śmieci przez miotłę wypadającą z rąk Gitli pozostawione, na ścianach kilka obrazków, okrytych skorupą bez nazwy, na komodzie bukiet papierowych kwiatów bez barwy, obok lampy z kloszem pękniętym. Sprząty z żółtego drzewa; plamy, szczerby, pajęczyny — wszędzie.

Kobieta z brylantami przy uszach, z bardzo białemi

rekoma, nie spostrzegała wcale śmiecia, plam, żółtych sprzętów, kwiatów papierowych i pajęczyn. Wszystko jej było jedno. Odwróciła się od okna i powoli szła ku stojącej przy ścianie kanapie. Jakiemikolwiek były jej uczucia, nad wszystkimi teraz zapanowało znużenie ciężkie, takie, jakie bywa tylko po wielkich chorobach ciała i w czasie wielkich chorób duszy. Tylko, że w wypadkach pierwszych oczy chłoną chciwie i z rozkoszą widoki świata, a w drugich przeciwnie pragną zamknąć się i usnąć, bodaj na zawsze! Na oczach nieznanym długą bezsenność złożyła swoje omglone i różowe piętno.

Z materaca kanapy, przez dziury obicia, wyłaziły klaki brudnej pilśni i leżała na niej poduszka, z wyszytą niegdyś na kanwie różą monstrualnej wielkości i barwy. Nigdy zapewne na takim sprzęcie nie leżała postać tak pełna wdzięku, w taką poduszkę nie ukrywała się twarz z cerą tak delikatną, na tak brzydkiej poręczy nie opierały się ramiona tak gibkie i tak rozpacznie zarzucone na tak znużoną głowę.

W malowniczych zwojach miękkiej sukni leżała nieruchoma, nie przyzywając nikogo i nie żądając nic. Niczego nie potrzebowała.

Na rynku gwar przycichał, na niebo zaczynał wschodzić księżyc; przez otwarte okno wlatywał zapach rezedy, której trochę zakwitło cudem na wyschłej grzędzie pod oknem.

Nie słyszała, nie widziała, nie czuła nic. Wszystko jej było jedno.

Wschodzącego na niebo księżycą nikt w zajezdnym domu Mendla Szapira nie spostrzegał. Zwinny, nerwowy Mendel nie miał ani sekundy czasu na czynienie poetycznych albo astronomicznych spostrzeżeń, bo zobaczył przejeżdżającą przez rynek bryczkę znajomego szlachcica, do którego miał interes ważny, więc co siły za nią pogonił, wołając na całe gardło: „Stój, stój!”

Ponieważ konie u bryczki biegły dość prędko, Szapir podnosząc poły długiej odzieży, biegł coraz prędzej i wołał coraz głośniejsze, aż czapka przekrzywiła się mu na głowie i twarz całą w drganiach nerwowych oblał kroplisty pot. U wjazdu do jednej z uliczek bryczka zatrzymała się na koniec i zziąjany Mendel, stanawszy przy niej, rozpoczął ze szlachcicem rozmowę długą, o interesie ważnym. Gdzież mu

tam było spostrzegać, czy na niebie świeci albo nie świeci księżyc? Ruchla znówu, obok wielu cnót domowych, posiadała tę wadę, że była ogromnie swarliwą i krzykliwą. Może nawet wada ta powstała w niej z cnoty skrzętności gospodarskiej, bo często się zdarza, że cnoty ludzkie wyradzają się w przywary, niemniej sprawiła, że teraz, jak zresztą bywało często, dwie izby, kuchnia i sień domu rozlegały się od nieustannego i coraz wzmagającego się krzyku. Garnek stłukł się. Ruchla wchodząc do kuchni, ujrzała na ziemi czerepy stłuczonego garnka. Kto był sprawcą nieszczęścia: jedno z dzieci, czy Gitla? Dzieci wypierały się, więc najpewniej Gitla, ta niezgrabna, głupia dziewczka, która zawsze musi w domu szkodę jakąś zrzadzić. Pomimo przestrogi Mendla, aby w domu było cicho, Ruchla głośno łajała i dzieci, każde z osobna, i Gitlę, i nieobecnego męża, który wiecznie gdzieś lata, i los swój nieszczęsny, który ją dziś dotknął stratą najpiękniejszego garnka. Głośno krzycząc, głośno także chodziła, bo była otyłą i ciężką.

Niegdyś musiała być dość ładną, bo w tłustej i wiecznie wzburzonej twarzy, przeglądały jeszcze linie regularne, a z oczu wyglądał szafir żrenie, przygasły wprawdzie, bo rzecz dziwna! pomimo irytacji Ruchla miała oczy przygasłe bez blasku i po których zaledwie poznać można było, że niegdyś były szafirowe. Takie oczy, w takich szczególnie chwilach, gdy stłucze się w domu garnek najpiękniejszy, żadnym sposobem nie mogą wznosić się ku księżycowi. Co do Gitli, ta przez Ruchlę sfukana i pięścią w plecy uderzona, porwała wiadro i do studni pobiegła, a po chwili wracała z naczyniem pełnem wody, od którego ciężaru niedorośle jej ciało nisko przeginało się w prawą stronę, a lewe ramię, zdala od ciała wyciągnięte, szmatami podartego rękawa powiewało, jak chorągwią nędzy.

U Chaima Cyglera i żony jego, Małki było daleko ciszszej, niż w domostwie Mendla i Ruchli, niemniej tam także nikt ani myślał o patrzeniu w górę. Owszem, w izbie pełnej większych, mniejszych i zupełnie małych łóżeczek dziecięcych, z za których można było jeszcze spostrzedz w izdebce przyległej dwie kofyski z bliźniętami, w świetle lampki z sucho sterzącym kominkiem, Chaim i Małka nisko pochylali twarze nad wielką księgą rachunkową. Zgodnem widać byli małżeństwem, bo ustami zgodnie poruszali, jednogłośnie wy-

mawiając cyfry rozmaite: *zehn, zwanzig, hundert* i t. d. Był to duet szeptów świszczących, który ani razu do słowa: *tausend!* nie dochodził. Pomimo zajezdnego domu i sklepiku z kolonialnymi towarami, Cyglerowie byli daleko bogatsi w łóżecka i kołyski dzieciune, niżeli w pieniądzu. Stąd zapewne pochodziły ostre świsty w ich szepcie, niespokojne migotania oczu i gniewny ruch, z jakim Chaim rękę na księdze rachunkowej oparł, mówiąc:

— Już ja dłużej czekać nie będę! Już ja jej, tej Obuchowskiej, dłużej pobłażać nie będę! Jeżeli za tydzień pieniędzy nie odda...

— Co to za tydzień? Dlaczego za tydzień? Jutro! zrana! — z uniesieniem zagadała Małka.

— Za tydzień — powtórzył mąż.

Żona zgodziła się natychmiast.

— Niech będzie, jak powiedziałeś. To co za tydzień..?

— Do sądu podam, a potem dom jej wezmę...

— Co to za dom! Chata!

— Niech sobie będzie chata! Ja ją komukolwiek z zyskiem odsprzedam. Już dawno byłbym to zrobił, żebym nie oglądał się na jej biedę...

Małka z zapalczywością rzekła:

— Kiedy ona biedna, to naco herbatę pije i kaszę z takich pięknych krup gotuje, za które potem zapłacić nam nie może!

— Ty masz rację, Małka — z kolei zgodził się mąż. — Za tydzień podam na nią do sądu, a za kilka miesięcy odbiorę jej dom!

— Odbieraj! odbieraj! — dokończyła rozmowy Małka, i znowu oboje pochylili twarze nad wielką księgą rachunkową, na której karty, drobnymi cyframi ókryte, nie padał ani jeden, najdrobniejszy promyk księżycy.

Jednak księżyc podnosił się na niebie coraz wyżej i światło jego, ukośnie dopiero dotykając ziemi, wydawało się mgłą srebrzystą raczej, niż światłem. W powietrzu srebrnie było, lecz jeszcze ciemnawo. W srebrzystej, lecz jeszcze ciemnawej mgle, cicho stały wysokie malwy i georginie ogródka, w którym siedział na ławce człowiek nieruchomy, jak rzeźba z szarego kamienia. Czasem tylko czynił on ruch bardzo dziwny: wielką pięść, mocno ściśniętą, od kolana odrywał i czynił nią w powietrzu znak groźby, poczem

znowu z ciężkością kamienia opadała mu na kolana. Cere miał w mgle srebrzystej tak szarą, jak kamienie przydrożne, a pospolite rysy tak zastrzone, jakby je w taki śpiczasty sposób ociosano dłuto jakieś gwałtowne i razem misterne. Było to dłuto śmierci, która weszła do jego małego domu i zabiła mu syna. Tłumik szepejących kobiet stał przy płocie ogródka.

— Od rana tak siedzi, jak pień, do nikogo słówka wymówić nie chcąc!

— Już ja tam niejedną raz chodziłam, prosiłam, perswadowałam, wolę Boską przypominałam, a on nie! Jakby ogłuchł i oniemiał! W ziemię patrzy i dyszy ciężko, jak na śmierć obity pies!

— Syna takiego stracić, co już mu pomocnikiem i przyjacielem był, nie żarty! Ale zawszeż, żeby pomodlił się, z ludźmi pogadał...

— Może mowę mu odjęło!

— Albo rozum?

— Patrzcie tylko moje kochane, jak on pięścią wygraża się w powietrzu! Zupełnie jak waryat!

— A bo i ksiądz proboszcz, jak stąd odchodził, powiedział: „Bieda z tym człowiekiem! Jeżeli nie zapłacze, może zwaryować!“ Mówił do niego długo o różnych świętych rzeczach, modlitwy mu czytał, aż przybiegli wołać go, żeby jechał do chorego, więc poszedł i mnie samej powiedział: „Bieda z nim! Jeżeli nie zapłacze i nie pomodli się, może zwaryować!“

Ten, o którym kobiety szeptały, siedział ciągle jak kamień, czasem tylko pięścią ściśniętą komuś lub czemuś w powietrzu grożąc. Nie patrzył na księżyc, ani na krzyż, którego ramiona, wyciągnięte nad dachami domostw, widać stąd było w coraz jaśniejszej mgle księżycowej.

Nie patrzyła także na krzyż, choć przez malutkie okno widzieć go mogła, kobieta w izdebce ciasnej, na bardzo ubogiej pościeli leżąca. Promień księżyca padał na głowę, która w gęstwinie czarnych włosów zagłębiała się w poduszkę z twarzą obróconą ku grubym belkom sufitu, wśród których któryś żyły mnogie ludy pajęczne i musze. Na wychudłych rysach paralityczki, w ustach jej zaciętych, w oczach ciemnym ogniem gorejących, malowała się ponura złość i rozpacz. Od paru już lat leży tak w tej izdebce sama jedna,

przez litość ludzką żywiona i dogładana, wiecznie sama jedna i czegoś potrzebująca, a nie mająca. Srogie bóle ciała mniej udręczenia jej sprawiają, niż ta szyderska gorycz, której ma pełne usta i serce. Bo czy podobna, aby ją tak zapomnieli i opuścili wszyscy, których kochała i którym służyła? I gdzież są ci, których dobra strzegła, żądania spełniała, choroby pielęgnowała, straty opłakiwała, jak własne? Bezwładne nogi bola ją często, lecz jeszcze częściej samotne i zawiedzione serce. Po całych dniach i nocach leży tak sama jedna, czasem głodna, wspominając i tęskniąc, myśląc:

— Czy ludzi dobrych niema na świecie? Czy Boga niema w niebie?

Raz noc jakaś, straszniejsza nad inne, odpowiedziała:

— Chyba niema!

I od tej nocy złość przedtem nieznaną żądłem zmijała jej serce, i przekleństwa, których dawniej nie było w niej ani śladu, jak gady ogniste przepelzają przez głowę. Żebyż choć ciszę i spokój miała! Ale gdzie tam! Ot i teraz jakąż piekielną wrzawę u samych jej drzwi podnosi właścicielka tej chaty z nędzną swą lokatorką! Obie są nędzarzami. Ta Obuchowska chatę ma, lecz po dach zanurzona w długach, a tamta druga dzieci dwoje, których karmić czem nie ma. Wiecznie też szczęście swoje nawzajem sobie wyrzucają.

— Żebym ja miała chatę własną, czegobym więcej chciała! — mówi jedna.

— Żebym ja miała dzieci, czegobym więcej chciała! — odpowiada tamta.

— Niech pani moje dzieci wyżywi i przyodzieje!

— A ty zapłać moje długi!

I od słowa do słowa wszczynają się hałas ot taki, jak w tej chwili. Boże! jak krzyczą i jakimi słowami obelżywymi wzajem na siebie, jak gradem brudnym, sypią! I słuchać tego trzeba, uciec nie można!

W głowie, która coraz ciężiej zagłębiała się w poduszkę, przewinęło się przekleństwo, które z cicha powtórzyły spieczone wargi. A potem powstały w niej zapytania:

— Czy ludzi dobrych na świecie niema? Czy Boga niema w niebie?

Aż mętna, ponura, do cielska chmury ciężkiej podobna, przyptynęła myśl:

— Chyba niema!

I przed oczyma paralityczki zasłoniło przerywnąjącą mgłę księżycową, wysoką linię krzyża.

Księżyc ukazał się z za czarnej ściany kościoła i z wolna płynąć zaczął ku szczytowi jego wysmukłej wieży. Pod ogrodzeniem kościelnym, to znikając w cieniu drzew, to wynurzając się zeń na światło, przesuwała się postać bardzo drobna i szczegółna. Był-że to karzeł, z tułowiem potwornie rozrośłym, albo garbusek, którego drobne nogi z trudnością dźwigają plecy ogromnie wydęte?

Było to dziecko, niosące na plecach ogromny wór kartofli. Z trudnością niezmierną brzemień to dźwigając, pełzło raczej, niż szło, z twarzą zwieszoną ku ziemi i oczyma utkwionemi w ziemię. Czasem postękiwało z cicha lub niżej jeszcze głowę pochylało ku rękawowi koszuli, którym ocierało z twarzy pot, czy łzy. Owad mizerny, ciągnący ku gniazdu ciężar od niego samego większy, malutki Abel, na którego jakiś Kain ciężar ten zwałił — symbol ludzkości, dźwigającej na barkach brzemień swojej doli!

Z coraz większą trudnością dźwigając i coraz niżej chyląc się ku ziemi, dziecko z worem kartofli na plecach wypelzło z pod ogrodzenia kościelnego, przepelzło otwartą przestrzeń rynku i — jak człowiek z brzemieniem swem w czeluści grobu — zniknęło w wąskiej i ciemnej uliczce.

Wtedy księżyc ominął już szczyt wieży kościelnej i z pośrodką nieba lał na ziemię powódź światłości jasnej, czystej, srebrnej, niewymownie słodkiej.

Rozciągnął także kobierzec srebrny na grubej podłodze i kroplami srebra napełnił ciemne kąty gościnnego pokoju w zajezdnym domu Mendla Szapira, ale kobiety, która z twarzą zanurzoną w poduszcze leżała na żółtej kanapie, najmniejszym promykiem nie dotknął. W cieniu i nieruchoma wydawała się pogrążona we śnie, albo w takiej otchłani zamyslenia, z której dna nie widać i nie słyszać świata.

Jednak ze świata, zdala, uszu jej doleciał dźwięk pocztowego dzwonka, bardzo słaby, potem coraz wyraźniejszy. Ktoś tam jedzie tą drogą przez pola biegnącą, którą ona tu przybyła, ale co ją wszystko na świecie obchodzić może? W tem, ostrzem sztyletu serca jej dotknęła najnie spodziewańska dla niej z myśli:

— Może to on...

Ostatnie słowo myśli utonęło w krótkim śmiechu ironicznym, który wzięła w siebie róża monstrualna, wyszyta na starej poduszce. Ironia śmiechem parsknęła w oczy sercu, które zdobyć się mogło na tak nierozsądną, szaloną nadzieję. On tu? POCO? W pogoni za nią? Trzebaby na to cudu!

Odgłos dzwonka stawał się coraz silniejszym, zbliżał się coraz więcej. Kobieta podniosła głowę; wyprostował ją słaby, lecz nieodparty szepit najnierozsądniejszej z nadziei.

— Może...

A ironia znowu w twarz nadziei parsknęła śmiechem.

— Ananasy! Rajskie ptaki! Drzewa śpiewające i wody leczące! Bajki! On miałby za tobą, dla ciebie tu... Cudu by trzeba!

Dzwonek stał się prawie przeraźliwie głośnym i umikł — przed gankiem zajezdnego domu Mendla Szapira. Kobieta ruchem nagłym podniosła się z kanapy.

— Tu!...

Był to okrzyk nadziei, który ironia zdławiła pytaniem:

— Więc cóż? Alboż to raj wybranych? Upamiętaj się! To dom zajezdny!

Nie! Nie! Czyjeś kroki w sieniach... i głos! Czyj? Boże! To jego głos! Jej imię wymawia! O nią zapytuje! Cud stał się.

Krawędź stołu ściskając mocno w delikatnej dłoni, z cienia, w którym stała, głowę wychyliła na światło księżyca.

— Pan... tu?

Powiedziała to, jak człowiek, który widzi, ale oczom nie dowierza. Jednak było to prawdą. Po srebrnej płachcie zaścielającej podłogę prędko szedł ku niej i podał jej rękę.

— Pan tu? Jakim sposobem? Dlaczego?

— Jakim sposobem? dlaczego? — powtórzył tym głosem, o którym myślała, że nigdy go już nie usłyszy, i zaśmiał się tym śmiechem, za którego perłowe dźwięki oddałyby chętnie huczne oklaski, których pełno bywało wszędzie, gdziekolwiek bywała.

Siadając, wesoło i swobodnie, z radością w głosie, mówił:

— Panią dziwi, że tu przyjechałem? Dlaczego to panią dziwi? Rzecz tak prosta! Nie znalazłem pani tam, gdzie zostawiłem, i puściłem się w pogoń za zbiegiem. Byłbym tak,

dowiadując się, zapytując, jechał aż za granicę świata, bo na sam koniec jego, zdaje się, że już przybyłem. Lecz багаż, który przywożę ze sobą, pełen jest gniewu, kłótni, wyrzutów...

O gniewie i kłótni mówiąc, ruchem wytwornym wziął jej rękę i do ust przycisnął. W nizkiem pochyleniu się pięknej głowy była cześć, w długim pocałunku ust gorących — miłość. Jedną i drugą uczuła i, zwiędła w przebytej męce, rozkwitła rumieńcem i uśmiechem; lecz od nagłego załamania się linii losu drżąca jeszcze rzekła:

— Gniew! wyrzuty! Za co?

— Za niepokój ogromny, zawód, tęsknotę, żal...

— Czyje?

— Pani nie odgaduje? nie domyśla się? nie wie?

— Domyśły i odgadywanie napęłniały mi tak długo wszystkie dni miesiący i wszystkie minuty dni...

— Mnie także... — przerwał.

— Więc pan nie wiedział? — zapytała.

— Wiedziałem zrana, wątpiłem wieczorem. Każda minuta przynosiła mi zapytanie: czy podobna? A druga odpowiadała raz: „to jest“, a dziesięć razy „to być nie może!“

— Moje minuty tak samo z sobą rozmawiały...

— Pani tak sławna!... Ja, z roju owadów zupełnie do siebie podobnych...

— A pan z tak wysoka... ja zaś ze stada ptaków, których śpiewu wszyscy słuchają chętnie, lecz z którymi w parze nikt długo lecieć nie chce, może dlatego, że lot ich zbyt górny...

— Milczałem, myśląc: nie jestem godny! W pokorze mojej była duma.

— A ja myślałam: nie jestem kochaną! Milczałam. Czekałam słowa...

— I nigdy, nigdy, w tych długich, drogich niezapomnianych rozmowach naszych nie zapłatało się ono na ustach pani, ani moich...

— I nigdy w tych długich, cudnych, najdroższych godzinach, któreśmy z sobą spędzili, nie było minuty, w którejby „serce do serca mówiło!“

— Dlatego więc wyjechałaś... zniknęłaś?...

— O, nie! Moim jest wyraz: zniknął! Ja to od obudzenia się do zaśnięcia, od tyłu już dni mówię sobie: „zni-

knął! „Kiedy pan pojechał do rodzinnych stron swoich i tak nieskończenie długo nie powracał... cóż dziwnego? najdroższy brylant tego wysokiego gniazda!.. wieść przyleciała, że w pierścień życia pana oprawioną ma być perła...

— Uwierzyła pani?

— Uwierzyłam. Nie jest-że to prawdą?

— Prawdą jest, że przyszła chwila zwątpienia i męki serdecznej, w której powiedziałem sobie: dosyć tego! Targnę z całej siły nicia, coraz głębiej wrzynającą się w serce i zerwę ją... puszczyć się na poszukiwanie Lety i zapomnę!... Czasu wiele upłynęło... nic nie zerwałem, nie zapomniałem, wróciłem i to miejsce, na którym pozostało wszystko, co mi być może ukochane, pożądane, znalazłem puste! Odjechała! uciekła! Gdybym miał skrzydła, leciałbym; że ich nie mam człowiek biedny! więc oślepy od przestachu, z pospiechu ludzi roztrącając, wpadłem do wagonu i leciałem na skrzydle pary...

— A perła? — zapytała nieśmiało.

— Zostałem ją do oprawienia w pierścień życia z brylantem innym, najpewniej drogocenniejszym nade mnie.

— Tak! — przeciągle wymówiła. — Więc tak! A ja myślałam...

Zanurzyła się cała w cieniu i cicho dokończyła:

— Że ta nić, na której zawiesiłam życie, była — pajęczyną!

— I dlatego, porzucając wszystko, wyjechałaś w tę podróż dziwną! O! niedobra! nieufna! Tak mało wierząca potędzie własnego czaru, a tak łatwowierna dla latających po świecie lekkomyślnych! Odjechać! I dokąd jeszcze! Na tę pustynię! Na ten koniec świata! Do tego zakąta pustego, brzydkiego... Czy to dobrze? Czy tak czynić powinny istoty tak miłe światu, tak śliczne, słynne, a nadewszystko takie dobre... dobre!...

Ręce jej pocałunkami osypywał, a potem rozglądając się dokoła, wesoło zawołał:

— Ależ ten zakąt nie jest wcale brzydkim! Przeciwnie! Jest to miejsce wprost zaczarowane! Przyozdabianiem go trudnią się chyba jakieś dobre wieszczki!

Dobrą wieszczką był księżyc, który napępiał pokój światłością niewymownie przejrzystą i słodką, wszystkie jego brudy i plamy przerabiając na czarnoksiężskie ozdoby. Po-

długę zaścielał kobierzec z blado-złotych sieci upleciony, po ścianach, jak gnomki lotne i figlarne, migotały błyskotliwe promyki i kółka, u progu żdźbła słomy jaśniały jak wyrzuczone z bajecznego skarbca sztabki metalów drogocennych, w rozbitym kloszu starej lampy żarzyło się ognisko iskier, od którego drżących blasków płatki papierowych kwiatów ożyły żółtością gorącą, białą śnieżystą, i jak w powiewie wonnego wiatru, zdawały się drżeć... wonnego wiatru, bo przez okno, z coraz świeższym oddechem wieczoru, wlatywał coraz silniejszy zapach rezedy. Dobrą też wieszczką, cudnie w tej chwili strojącą ten pokój, była radość wielka, bijąca z jego pięknej twarzy, której rysy, wrzątkiem młodego życia przepojone, śmiać się lubiły, cierpieć nie chciały. Znalazł to, co mu było przepadło, nawiązał to, co wydawało się zerwanem, i radość na spółkę z księżycem otoczyła go czarami zdobytego raj.

Z nią jednak było inaczej. Silniej ścięta lodem życia, nie tak łatwo tajała w ciepłe wschodzącego słońca; cierpienie silniejsze wrosło w nią głębiej i pierwsza minuta szczęścia wyrwać go z niej nie mogła. Nie było uśmiechu w jej głosie, gdy z cienia, który ją okrywał, mówić zaczęła:

— Pan mówi: „w tę dziwną podróż!” Była ona jedyną, którą przedsięwziąć mogłam. Pan wie: wszystkie drogi stoją przede mną otworem. Dla ptaka, który wysoko lecąc pięknie śpiewa, wszystkie bramy i drogi — pełno żeru — stoją otworem. Ale ja nie chciałam już nikogo, niczego, oprócz wolności dla ust, które bolały od uśmiechów koniecznych, i dla wzroku, który patrząc na życie nudniał i szarzał, bo życie stało się nudne i szare, odkąd pan z niego zniknął...

— Pan! — przerwał z wyrzutem.

— Tak długo wyraz ten stał pomiędzy nami, że od razu — nie mogę... Jechałam tam, gdzie mogłam najwięcej milczeć i najmniej widzieć życia, bo doprawdy, przez tak wiele czasu razem z panem przebywając w jego wrzątku, tak strasznie przywykłam mówić sobie o wszystkim ujrzanem: jemu to pokażę! o wszystkim usłyszanem: jemu to powtórzę! o wszystkim miłym: z nim się tem podzielę! o każdej myśli: jemu ją powierzę! o każdej pieśni: jemu ją zaśpiwam! że... gdy mi pana zabrakło, już nie wiedziałam, co mam czynić z ziemią i niebem, z samą sobą, ze swoim ser-

cem, ze swoją myślą i pieśnią... Ach, niedobry! dlaczegoż nie powiedziałeś mi, że to była tylko próba rozstania się na zawsze? Byłabym nie mówiła sobie: „już nigdy!“ Niekiedy czyniłam ci w myśli wyrzuty: żeby tak wejść w czyjeś życie, tyle w niem zająć miejsca i — zniknąć! Żeby tak zabrać sobie czyjś wzrok, słuch, pamięć, nadzieję — i zniknąć! Żeby tak uczynić, że komuś nikt już na świecie podobać się ani miłym być nie może — i zniknąć!.. O, Boże! ja tak mówić pewno nie powinnam, ale w milczeniu to wezbrało i przyjechałeś do mnie... za mną... wróciłeś, więc powiem! Tyś mi był światłem oczu, czarem serca, uśmiechem ust i powabem życia, które bez ciebie rozumieć przestałam. Byłeś celem, ku któremu płynęły myśli i godziny moje, siłą pieśni, gdy śpiewałam, wschodem radości, gdy otwierałam oczy na dzień wschodzący, i ostatnim obrazem, który tkwił pod powiekami, gdy zamykałam je do snu, pełnego snów o tobie! Aż nagle: niema! Zniknął! Był snem, który się prześnił, strofą, która przebrzmiała, mirażem, który zaszedł drogę, aby gorzkim prochem wspomnień opaść na piaski pustyni! Co czynić? Umrzeć! Ty wiesz! ja wierzę w Boga, który dał życie, a poco? spierać się z Nim nie wolno? I mam matkę... siostry... szczególnież matkę... Więc żyć? Dobrze; ale tylko tam, gdzie wolno milczeć najwięcej, nie uśmiechać się wcale i życia widzieć najmniej. Jechałam do rodzinnego domu, pustego, prawie nikomu niewiadomego, szczęśliwa jeszcze tem, że posiadam ten port wolności dla serca i myśli, które nic innego uczuć i mówić nie chciały, oprócz tych krótkich słów: niema! zniknął!

W cieniu niewidzialna, zaniosła się ciężkim płaczem, a on z radością bez granic mówić zaczął:

— Jestem! Ależ jestem już przy tobie! Uciszyć serce, które nie może przestać płakać. Czy podobna? Czy podobna, abyś aż tak... tak niezmiernie... W najzuchwalszych rojeniach moich nie śniłem, abyś aż tak... O, szalony! wątpiłem... byłem nawet zwątpił zupełnie... O mało w dumie mojej, a twojej czystości nie utonęło nam szczęście! Niechże błogosławioną będzie chwila, w której puściłem się w pogoń za tobą!

— Niech błogosławioną będzie każda, która cię do mnie przybliżała!

Potem zaczął prosić:

— Wstań i wyjdź na światło. Jesteś pogrążona w ciemności i widzę cię niezupełnie. Czy to światło księżycy pokazuje cię tak mizerną i zmienioną? Nigdy, nigdy już nie zniknę, aby kwiat mój nie wiadł. Tak dawno nie widziałem cię i nie słyszałem twego śpiewu. Twój śpiew, to skrzydła, na których wzbijałem się nad samego siebie, źródło czyste, w którym serce stawalo mi się lepszym i dusza zdrowszą. Może cokolwiek zaśpiewasz? To, co najwięcej lubię, pamiętasz? zaśpiewaj!

— Dobrze — odpowiedziała; czuję w sobie morze tonów, którymi chcę dziękować Bogu, że mi cię oddał, i tobie, żeś nie zniknął!

Z morzem tonów dziękczynnych w piersi powstała i z ręką w jego rękę, cała w idylli światła księżycowych, woni rezedowej i swojej szczęśliwej miłości, szła ku oknu, otwartemu na przeczyste i promieniste sklepienie nieba.

Wtem, tuż nad sobą, usłyszała głośnie, szorstkie, chrapliwe dźwięki.

— Może samowar przynieść?

Ze wzrastającym przerażeniem, prawie z obłąkaniem zawołała:

— Nie chcę! Dziękuję! Nie potrzebuję niczego!

Dziewczyna odeszła, pokój pozostał pusty. Były w nim światła księżycowe, woń rezedy, żdźbła słomy, błyszczące u progu, jak sztabki srebra i złota, w rozbitym kloszu ognisko iskieł i wskrzeszane przez jego migotliwe błyski kwiaty papierowe — ale człowieka żadnego nie było.

Spała i śniła...

A rzeczywistością pozostało to, że zniknął.

Piękny, świetny, wymowny, zapewne wesoły, żył kędyś, ale już nie dla niej. Nietylko przez śmierć cielesną ludzie ludziom umierają, ale i na różne sposoby inne. Żył kędyś, zapewne szczęśliwy, lecz ją odumarł i z tamtego świata przyszedł we śnie poprosić: zaśpiewaj! Śpiew jej lubił niezmiernie i było to właśnie przyczyną złudzenia, które padało jej na oczy, gdy roiała, że ją samą nad wszystko w świecie polubił. Ten śpiew był dla niej skarbem nieprzebrany, gwiazdą odznaczenia, którą Bóg nad czołem jej zapalił, puklerzem, którym osłonił jej słabe serce.

Lecz gdy on odszedł, mniemała, że wszystkie tony i wloty, uniesienia i natchnienia, odleciały ją także na zaw-

sze. Pod wielką biedą, która jak postać kamienna legła na jej sercu, stało się w niem cicho, jak w pustym sarkofagu. Ani echa żadnej pieśni, ani chęci wywołania jej z próżni duszy, dla pustki świata. Nagle przyszedł we śnie i poprosił: zaśpiewaj! a prośba jego nawet wyśniona, wskrzesiła w niej to, o czem myślała, że umarło. Wstała i z opuszczonemi na suknię rękoma, jak lunatyczka szła ku jaśniejszej za oknem tarczy księżycowej. Pocóż Bóg, w życiu odbierając na zawsze, we śnie zwraca na chwilę to, co milsze? Może poto, aby miecz wyostrzony przez złudę, bódł śpiewaków do śpiewu.

Stanęła przed oknem, oczyma powiodła po niebie i ziemi, opuszczone ręce silnie splotła i z piersi jej wybuchnęła ogromna fala tonów. Śpiew jak krew, czerwony i wrzący, wytrysnął z jej rany serdecznej, której wargi otwierały się i zamykały ruchem nieukojonym, bo nie spływała na nie żadna kropla balsamu. Był to krzyk, ale ujęty w formę wielkiego piękna i kaskadami tonów wypowiadający światu tę najprawdziwszą prawdę świata, którą jest cierpienie. Bo wszystko może być ułudą, tylko ono jest rzeczywistością, wszystko może ominąć, tylko ono nie zawodzi, wszystko przemija, ono trwa, wszystko zjawia się gdzie indziej, ono jest wszędzie. Śpiewaczka opiewała je, opiewając samą siebie; głos jej przeczysty i potężny roznosił w srebrnem powietrzu powszechny tragizm istnienia. Były z niego groza i męka; ze srebrnych przestworzy, wśród których wołał, szalał, zozpaczał, głębokimi tonami konanła opadł na ziemię i wił się po niej, jak po łożu tortur.

Na ziemi, na niskim jej padole, Ruchla, która biegając po izbie, prowadziła z mężem zawziętą kłótnię, stanęła i zaszeptała:

— Co to jest?

A Mendel Szapir, który w czapce przekrzywionej na głowie gotował się do przeskoczenia progu izby, stanął także i powtórzył:

— Co to jest?

Chwilę słuchali; potem Ruchla cicho przemówiła:

— Pójdźmy na ganek, Mendlu; stamtąd lepiej słyszeć!

O dziwy! Ruchla cicho i łagodnie przemówiła! Wyszli na ganek. Kiedy przechodzili się prawie ciemną, u zamkniętych drzwi śpiewaczki coś zaszeleściło i do ziemi przypadło;

była to Gitla, ale oni jej nie spostrzegli. Wyszli na ganek i stojąc słuchali.

Mendel zakotłysał głową.

— To ona tak śpiewa!

— Pięknie śpiewa! — zaszeptała Ruchla, a potem dodała:

— Ot szczęśliwa! Takie brylanty i takie śpiewanie mieć!

Jej grube ramiona pod brzydkim kaftanem zadrgały, w tłustej twarzy coś zadrgało; oczy podniosła w górę i zaszeptała:

— Widzisz, Mendlu, jaki piękny księżyc?

On już go sam zobaczył i, zawsze ruchliwy, teraz stał jak skamieniały, słuchając śpiewu i patrząc w górę.

Wtedy także, w domostwie innym, poważny Chaim Cygler i żona jego, Małka, podnieśli głowy z nad wielkiej księgi rachunkowej, a że byli małżeństwem zgodnem, jednomyślnie wymówili:

— Ktoś bardzo pięknie śpiewa!

Chcieli rachować dalej, lecz coś im przeszkadzało, cyfry i myśl mąciło. Wstali i jednomyślnie na ganek domu wyszli.

Tam po chwili Małka rzekła:

— Ja wiem, kto to taki, rozpytałam się. To taka wielka śpiewaczka, co to jej ludzie za śpiewanie wielkie pieniądze płacą. Tak pięknie śpiewać i jeszcze za to wielkie pieniądze brać!

Ot, szczęśliwa!

— A czemu ona tak smutnie śpiewa, kiedy szczęśliwa? — zapytał Chaim.

Małka westchnęła.

— Mnie to śpiewanie do samego serca idzie!

A mnie się zdaje, że ono dostaje się do samego nieba. Czy ty widzisz, Małka, jak księżyc pięknie świeci?

Śpiew nagle umilkł; nikt ze słuchaczów nie wiedział, co, jak miecz nitkę, głos ten przecięło. Było to łkanie — płacz serdeczny, który twarz śpiewaczki nisko na obie dłonie pochylił. Kilka minut upłynęło, zanim ją podniosła znowu, całą obłąaną strumieniem łez rzęsistych.

Lecz w łzach i tonach tajało może serce, zawzięcie dotąd ścinane ciężkim bolem, bo gdy śpiew rozległ się znowu, z głosu śpiewaczki zniknął tragizm ponury, a zastąpiła go szeroka pieśń liry, bogatej w giętkie struny i bezbrze-

źnie smutnej. Z twarzą oblaną łzami, które posrebrzał księżyc, artystka sławna i kobieta nieszczęśliwa śpiewała o swoim śnie najmiłszym, który daleko na fali podstępnej odpłynął, o zamku zaczarowanym, który runął w gruzy, o mirażu, który na drodze życia ją zuszedł i pierzchnął, o swoim sercu, które długo kołysało się na nitce pajęczej, aż z niej spadło i teraz pieśnią bezbrzeżnie smutną skarżyło się, że była tylko pajęczą. Pieśń szeroka i tęskna, nie z popędliwych kaskad tonów, nie z rozpaczliwych krzyków, jak przedtem, lecz z długich frazesów muzycznych, z nieskończonych trelów słowicznych, z zapytań bijących w niebo i z westchnień w przestworza stanych złożona, płynęła rzeką, w której odbijały się blaski rajy i płomienie stróżujących u wrót jego skrzydeł archanielskich. Archanioł od wrót zamkniętych oddalał serce ludzkie, biedne i słabe, z którego jednak geniusz sztuki dobywał niezmierną siłę pieśni. Rzeką tęsknoty i żalu pieśń ta płynęła nad rynkiem miasteczka.

Rynek otoczył się teraz wieńcem światełek mglistych, czerwonych, palących się za oknami domostw. W srebrzystej jasności księżyca wyglądały one, jak wieńiec oczu mrugających, spłakanych, uważnych. Zdawały się uważnie słuchać pieśni i coraz więcej zecerwienić się od tych łez, których była pełną. Uważnie też słuchały postacie coraz tłumniej napełniające ganki domu, ciemne i nieruchome w srebrnem świetle. Coś poruszyło się w mrowisku i z za szczególnie zamkniętych okien wypychało żyjące w niem istoty na jasną i świeżą przestrzeń. A dalej, u końca ustronnej uliczki, z jaskrawemi twarzami obróconemi na księżyc, proste i nieruchome uważnie zdawały się słuchać pieśni malwy i georginie ogródka, w którym siedział człowiek, podobny do rzeźby z szarego kamienia. Ten nie zaraz usłyszał, lecz, gdy usłyszał, uważnie słuchać zaczął i po kilku minutach twarz z rysami zaostrzonymi przez dłużej nieszczęścia rękawem odzieży zakrywszy, na sposób prostaczy, głośnym płaczem ryknął. Po raz pierwszy zapłakał nad bładą głową syna, która spokojnie leżała na wezgłowiu trumny, w domku teraz cichym i zarażeni oczu jego, wznosząc się ku górze, spotkały wysoko nad dachami rozpostarte w srebrnej jasności ramiona krzyża. Patrzył na krzyż i słuchał pieśni: stojące w pobliżu, cieniem drzew okryte kobiety zaszeptały:

— Dzięki Bogu! zapłakał! nie zwaryuje!

Jedna zauważyła:

— To przez to śpiewanie! Takie śpiewanie, to królowanie; wszystko, co chce, dokazuje z ludźmi. Oto szczęśliwa ta, co niem władnie!

W ciasnej izdebce, na barłogu, goryczą zalane wargi paralityczki szeptały także:

— Szczęśliwa!

Znając nieco świat szeroki, wiedziała, kim były te istoty władające pieśnią, przechodzące drogę życia pod łukami tryumfalnymi, w burzach oklasków i ulewach kwiatów. Pewno młoda, skoro ma w głosie taką świeżość i siłę, bogata, sławna... jakże szczęśliwa! Jednak czemuż tak smutnie śpiewa? Śpiew ten kołysze duszę zranioną, jak matka dziecię chore, i na tonach, jak w ramionach, podnosi ją coraz wyżej. Oczy oddawna pałace się w gniewie i rozpacz podnosiła coraz wyżej, aż oddawna po raz pierwszy spotkała się niemi z przerynąjącą srebrzyste powietrze linią krzyża.

Wtem śpiew znowu umilkł, raczej urwał się w połowie tonu. Srebrne powietrze zaległa wielka cisza. Cicho na gankach domostw stały ciemne postaci ludzkie i czerwone światelka, otaczające rynek, tylko mruganiem zdawały się wołać:

— Śpiewaj jeszcze! śpiewaj!

Śpiewaczka milczała. W połowie tonu podniosła wzrok ku górze i spostrzegła krzyż. Długo milczała, myślała, wzrok jej wzbijał się wyżej, coraz wyżej, nad szczyt krzyża, nad wieżę kościelną, aż ku najwyższemu punktowi przestworza, ku temu, na którym przed wzrokiem ludzkim zapada granica widzenia.

Tam, ku nieznanemu jądro świata i niepojętej przyczynie jego mąk i dążeń, ku tej najwyższej tablicy praw, na której długie szeregi wieków i pokoleń krwawymi zgłoskami i prastarą mową ryły słowa jak niemoc pokorne: *Fiat voluntas Tua*, posłała na promieniach oczu zapłakanych całą swoją tak biedną, a przecież tak bogatą duszę.

Gdy zaczęła śpiewać znowu, w powietrzu srebrnem rozległa się prośba tak wspaniała i szeroka, że zdawała się ogarniać ziemię z całą powszechnością jej cierpienia i niebo z całym majestatem jego bezdennej głębi.

Wtedy uczuła, że sukni jej dotykają jakieś ręce i tuli się do niej jakaś głowa. Spojrzała w dół i zobaczyła niedu-

żą postać, u stóp jej klęczącą. Była to Gitla, która cicho wsunęła się do pokoju i, jak lękliwe kocię przesunawszy się pod ścianą, do kolan jej przypadła. Śpiewaczka po chwili patrzenia rękę opuszczała na jej głowę; szmaragd pierścionka, jak zielony ogień błysnął i biała ręka zajaśniała na kruczonych włosach, a zarazem rozległo się w przestrzeni potężniejsze jeszcze, niż przedtem, wołanie z ziemi do nieba o uspokojenie ran, o przebaczenie win, o światłość dla ciemności, o nadzieję dla rozpacz, o ratunek dla ginących, o obronę dla traktowanych, o moc życia i śpiewania dla tych, których usta muszą się od słów, bołą od uśmiechów.

Na ganku domu Ruchla cicho mówiła:

— Już ja z tobą, Mendlu, chcę pogodzić się. Jak to można się kłócić, kiedy świat taki piękny i takie piękne śpiewanie na nim jest!

A Mendel, z twarzą całą w drganiach nerwowych na żonę patrząc, zdziwił się bardzo; bo oczy, któremi na niego patrzyła, były znowu tak szafirowe, jak kiedy miała lat dwadzieścia.

Zaś poważny Chaim Cygler rzekł do żony:

— Małka! Możeby tej Obuchowskiej nie tydzień, ale jeszcze miesiąc na ten dług poczekać?

— Ty na niego, Chaimie, już dwa miesiące poczekaj — odpowiedziała Małka; a że byli małżeństwem zgodnym, więc jednomyślnie spojrzeli w górę i szepnęli:

— Pan Bóg jest wielki!

Śpiewaczce wydało się, że pod dłoń, opartą na włosach klęczącej dziewczyny, czuje bicie jej serca. Spojrzała w dół. Kto to jest? Co to za metamorfoza? Gitla, klęcząc ciągle, wyprostowała się. twarz na światło księżyca obróciła i z czarną kosą w splecionych u piersi rękach, z rajska słodyczą w ogromnych oczach, z uśmiechem zachwycenia, rozwierającym koralowe wargi, wyglądała jak zaczarowany w słodką postać dziewczęcia duch modlitwy i ekstazy. Od tej słuchaczki śpiewaczka wzrok oderwała i potoczyła nim dokoła. W księżycowym świetle ciemne, nieme, zasłuchane stały na gankach domostw garstki postaci ludzkich, a pomiędzy plamami, które one rzucały na srebrzystą przestrzeń, światełka okien zdawały się naokół mrugać i prosić:

— Śpiewaj! Śpiewaj!

Śpiewała. Wstąpiło w nią to uczucie panowania nad

duszymi, które mistrzów słowa i dźwięku z dolin nieszczęścia wzbija na szczyty przedtem niedostępne. W kobiecie nieszczęśliwej obudziła się artystka i uderzyła w nutę odwagi i wytrwania. Geniusz sztuki porwał jej serce zranione i przypiął mu skrzydła niezłomne, które roztoczywszy wbiła się nad swoje tzy i bóle, w srebrnym przestworzu, nad ciemnym mrowiskiem lecąc wysoko i rozlewając z wysoka pieśń pociechy, odwagi i siły.

W uliczce podobnej do czarnej czeluści, pociecha — gość rzadki — uśmiechem wykwitła na drobnej twarzy dziecka, które niedawno ciężki wór kartofli zrzuciło z pleców i teraz z plecami bolącymi, zziąbane, bose, siedziało pod spróchniałym płótem z kromką czarnego chleba przy wybladłych ustach. Od kilku minut już nie jadło chleba, choć było głodne. Dziwiło się, nie wiedząc samo, czemu się dziwi. Tak jasno na świecie, ktośś tak głośno śpiewa, a wysoko nad dachami sąsiadów widać krzyż, błyszczący jak srebro. Malutki symbol ludzkości, który na chwilę zrzucił z bark swoje wielkie brzemie, przestał na chwilę także czuć, że plecy go bolały, chudem ramieniem wsparty o płot gnijący, z podniesioną twarzą, po której skórze bladej błędził promyk księżyca, uśmiechał się, patrząc w górę i — słuchając pieśni.

Artystka śpiewała...



Objaśnienia.

ANTEK.

- odmieniec* — odmienny od otoczenia, w gwarze ludowej wyrodek.
- flisactwo* — spławianie zboża, drzewa lub innych płodów ziemnych rzeką.
- znachorka* — kobieta odbywająca, wśród zabobonnego ludu wiejskiego, śmieszne, nierzadko wprost szkodliwe dla zdrowia i życia ludzkiego, praktyki nad chorymi w celu ich uzdrowienia.
- klepisko* — ziemia doskonale ubita w miejsce podłogi z desek po izbach i stodołach wiejskich.
- rekreacya* — wyraz służący w dawnej Polsce na oznaczenie uciech i przyjemności w gronie przyjaciół i krewnych. W tem znaczeniu używa go Skarga. Później oznaczał dany uczniom wypoczynek po nauce szkolnej i w tem znaczeniu używa go np. Kitowicz.
- pod sosnową wiechę* — do karczmy.
- komornica* — wieśniaczka nie posiadająca żadnego majątku i mieszkająca u drugich.
- model* — z francuskiego, = wzór
- bractwo* — stowarzyszenie osób świeckich, zwłaszcza w kościele katolickim, w celu spełnienia obrzędów lub posług religijnych względnie dobroczynnych.

SEN.

- Praga* — przedmieście Warszawy na prawym brzegu Wisły, pamiętne w historii porozbiorowej z rzezi, jaką na niem sprawił generał Suwarow 4. listopada 1794 r. Zginęło w dniu tym 12.000 mieszkańców.
- Terespol* — miasto w guberni siedleckiej,
- Toricelli* — słynny filozof oraz matematyk, wynalazca barometru (1643 roku) urodził się w Faenza w r. 1608., umarł jako profesor
- Nowela polska

na katedrze matematyki i filozofii we Florencji w r. 1647. Próżnia Toricellego nazywa się przestrzeń wolna od powietrza znajdująca się w barometrze nad słupem merkuryusza.

komorne — czynsz za mieszkanie.

kopiejka — setna część rubla, stanowi jednostkę monetarną w Rosji

budżet — wyraz angielski, służący pierwotnie na oznaczenie skórzanego worka, w jakim angielski kanclerz przynosił do parlamentu papiery dotyczące się dochodów i wydatków państwa; obecnie oznacza wykaz dochodów i rozchodów państwowych, krajowych, gminnych itd.

dekarz — rzemieślnik trudniący się pokrywaniem dachów.

Jan Gottlieb Bloch — finansista i statystyk, stał swego czasu na czele towarzystwa budującego drogę z Warszawy do Mławy tudzież fabryczno-łódzka, był prezesem kolei łódzkiej i dąbrowskiej, starszym zgromadzenia kupców warszawskich, urzędnikiem w ministerjum skarbu w Petersburgu, — przytem zaś cenionym autorem paru prac z zakresu ekonomii i statystyki.

Wł. Eli. Kronenberg — członek zarządu kolei terespolskiej, założyciel i wydawca „Przeglądu technicznego“, twórca warsztatów tkackich pod Częstochową, ofiarodawca 250.000 rs. na polepszenie bytu sierót w warszawskim Towarzystwie Dobroczynności.

chroniczny — tu w znaczeniu = ciągły, nieprzerwany.

Saski ogród, — rozległy, piękny park, miejsce spacerowe Warszawian.

dyżur — kolejność w zostawaniu na służbie przez cały dzień względnie noc przy kasach, szpitalach itd.

fizjologia — nauka o normalnych funkcjach organizmu.

farmakologia — nauka pomocnicza medycyny, traktująca o działaniu lekarstw na organizm obejmująca wskazówki, w jakich wypadkach chorobowych oraz w jakiej dawce odnośny środek leczniczy winien być użyty

Karl Robert Hartmann — filozof, ur. w Berlinie w r. 1842. Jego system filozoficzny, będący wykładem teorii Buddy o nirwanie, łączy logiczną ideę Hegla z ślepą wolą Schopenhauera.

wiorsta (wersta) — jednostka miar drogowych w Rosji. Obejmuje ona 500 sążni, równa się przeto 1066,78 metrów.

BABUNIA.

mikstura — lekarstwa.

profil — przedmiot oglądany z boku.

duet — dwugłos

„*A czy znasz ty*“... -- wyjątek z „Pieśni o ziemi naszej“ Wincentego Pola.

wizya, — widzenie.

boża krówka — biedronka

„*Dwór pod lipą*“... itd. -- wyjątek z „Pieśni o ziemi naszej“.

MOMENT.

łubin — roślina pastewna z rodzaju strączkowych, przedni nawóz pod zboża i pożywienie wołów roboczych.

gryka — hreczka

konkurencya — współzawodnictwo czyli współubieganie się z kimś o zbyt swych towarów czy usług.

symbol — zmysłowe wyobrażenie pojęć umysłowych lub materialnych objawów natury

Lete — rzeka zapomnienia, jedna z trzech wód w podziemnym świecie Hadesa.

gnomy — z franc., duchy ziemne, podrzędne bóstwa mieszkające pod powierzchnią ziemi i strzegące skarbów w jej łonie.

miraż — łudzące mamidło

metamorfoza — przemiana





20550/
1

A

AD-20550/t.1

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-20550/t.1



001-0023871-00